Nowi handlarze sensem: od rakiet po patriarchat

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje fenomen 'nowych handlarzy sensem' – Jordana Petersona, Elona Muska i Andrew Tate'a – w kontekście algorytmicznego kapitalizmu. Autorzy, Landon Frim i Harrison Fluss, wskazują, że postacie te pełnią funkcję współczesnych 'oszustów zaufania', oferując 'ontologię gotową do użycia' zagubionym jednostkom. Zamiast rozwiązywać problemy strukturalne, monetyzują oni afekt i lęk, sprzedając pewność siebie jako produkt. Tekst dekonstruuje mechanizmy 'toy politics' oraz luksusowej sofistyki, które przekształcają potrzebę wolności w antropologię polityczną dobrowolnego poddaństwa. To wnikliwe spojrzenie na to, jak systemy cyfrowe normalizują toksyczne postawy i radykalizują odbiorców, obiecując im elitarność w zamian za rezygnację z krytycznego myślenia. Analiza zachęca do odzyskania autonomii poznawczej w świecie zdominowanym przez rynkową metafizykę.

This article examines the phenomenon of the "new meaning merchants"—Jordan Peterson, Elon Musk, and Andrew Tate—in the context of algorithmic capitalism. Authors Landon Frim and Harrison Fluss argue that these figures function as contemporary "trust frauds," offering a "ready-to-use ontology" to disoriented individuals. Instead of solving structural problems, they monetize affect and anxiety, selling self-confidence as a product. The article deconstructs the mechanisms of "toy politics" and luxury sophistry that transform the need for freedom into a political anthropology of voluntary submission. This insightful look at how digital systems normalize toxic attitudes and radicalize audiences, promising elitism in exchange for the renunciation of critical thinking. The analysis encourages the reclaiming of cognitive autonomy in a world dominated by market metaphysics.

Współczesny krajobraz kulturowy, zdominowany przez algorytmiczny kapitalizm, wyłonił nową kastę „oszustów zaufania” – postaci takich jak Jordan Peterson, Elon Musk czy Andrew Tate. Autorzy analizy, Landon Frim i Harrison Fluss, diagnozują te

figury nie jako przypadkowych celebrytów, lecz jako kluczowe narzędzia systemu, które monetyzują gniew, samotność i lęk klasy wyczerpanej. Zamiast oferować realne rozwiązania problemów strukturalnych, ci liderzy opinii serwują „metafizyczny energetyk" – ideologie, które każą jednostce szukać przyczyn cierpienia wewnątrz własnej psychiki lub w mitycznej hierarchii. Mechanizm ten sprawnie zamienia potrzebę wolności w akt głębszego podporządkowania, gdzie samopomoc staje się narzędziem pacyfikacji buntu. Tekst obnaża paradoks współczesności: w świecie, w którym wszystko staje się towarem, także nasza tożsamość i krytycyzm zostały sformatowane pod dyktando rynkowej efektywności. Analiza ta nie jest jedynie krytyką medialnych idoli, lecz głęboką antropologią polityczną poddaństwa, która pokazuje, jak skutecznie można zarządzać ludzkim pragnieniem sprawstwa, by ostatecznie zredukować je do roli posłusznego ego, idealnie skrojonego pod potrzeby kapitału.

SŁOWA KLUCZOWE

Nowi handlarze sensem | algorytmiczny kapitalizm | oszust zaufania | Jordan Peterson | Elon Musk | Andrew Tate | toy politics | monetyzacja afektu | męskość kompensacyjna | ontologia gotowa do użycia | antymaterializm | longtermism | dekonstrukcja światopoglądu | antropologia polityczna poddaństwa | luksusowa sofistyka

Mechanizm oszustwa: jak sprzedać ideologię jako wolność

Współczesny oszust zaufania, czyli confidence man, nie potrzebuje już fizycznych rekwizytów w rodzaju fałszywych eliksirów czy skradzionych zegarków, by skutecznie drenować portfele i umysły swoich ofiar. W dobie algorytmicznego kapitalizmu, czyli systemu ekonomicznego, w którym uwaga i emocje użytkowników są towarem przetwarzanym przez algorytmy platform, produktem stała się ontologia gotowa do użycia. Jest to nauka o strukturze bytu i relacjach, która obiecuje natychmiastowe uporządkowanie chaosu poprzez dostarczenie gotowych odpowiedzi na najbardziej dręczące pytania egzystencjalne. Landon Frim i Harrison Fluss w swojej analizie przekonują, że Jordan Peterson, Elon Musk i Andrew Tate stanowią w istocie trzy warianty tej samej funkcji społecznej. Każdy z nich występuje w roli kapłana pewności siebie, oferując metafizyczny azyl w

epoce, która systemowo produkuje masową niepewność i lęk przed przyszłością. Zamiast katalogu kłamstw, autorzy proponują nam wgląd w irracjonalistyczną filozofię, która spaja te pozornie odległe od siebie postacie w jeden spójny i niezwykle rentowny mechanizm rynkowy.

Książka ta nie jest jedynie portretem trzech medialnych gigantów, lecz raczej diagnozą społeczeństwa, które utraciło wiarę w instytucje i rozpaczliwie szuka nowej orientacji poznawczej u proroków, menedżerów czy gangsterów. Peterson oferuje mit porządku, Musk roztacza wizję technologicznego zbawienia, natomiast Tate sprzedaje brutalny kult dominacji, przy czym każdy z nich trafia w inne czułe punkty współczesnego podmiotu. Wspólnym mianownikiem ich działalności nie jest ani psychologia, ani technologia, lecz pewność siebie traktowana jako specyficzny narkotyk polityczny, serwowany masom spragnionym jakiegokolwiek oparcia. To nie kokaina dla elit, lecz metafizyczny energetyk dla klasy wyczerpanej, który ma smak dyscypliny lub testosteronu, ale ostatecznie pozostawia po sobie jedynie dotkliwy poznawczy kac. Frim i Fluss słusznie umieszczają te figury w tradycji amerykańskiego oszusta, który najpierw mozolnie buduje relację zaufania, by następnie bezlitośnie przekierować ją na własny, wymierny zysk.

Historyczny archetyp Williama Thompsona, który prosił przechodniów o powierzenie mu zegarka w dowód zaufania, znajduje dziś swoje przedłużenie w świecie podcastów, platform subskrypcyjnych i agresywnych kampanii w mediach społecznościowych. W XIX wieku pytano o zegarek, natomiast w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości oraz zdolność do samodzielnego osądu faktów. Dawniej tracono cenny drobiazg, dziś traci się krytycyzm, a ponieważ ta strata nie ma paska ze skóry ani tarczy, jej przebieg jest znacznie mniej widowiskowy i trudniejszy do zauważenia. Zwykle nie odnotowujemy nawet momentu, w którym ktoś sprawnie wymienił nam rozum na gotową doktrynę, obiecując w zamian poczucie przynależności do oświeconej elity. Skandal krzyczy przez tydzień, podczas gdy system inkasuje zyski przez całe dekady, żerując na naszej potrzebie posiadania jasnych odpowiedzi w skomplikowanym świecie.

Analiza Frima i Flussa dotyka fundamentalnego pytania o to, dlaczego ludzie tak żarliwie wspierają systemy, które czynią ich biedniejszymi, bardziej chorymi i pozbawionymi realnego bezpieczeństwa socjalnego. Autorzy odwołują się tutaj do klasycznego problemu spinozjańskiego, zastanawiając się, dlaczego masy potrafią walczyć o własną niewolę z takim samym zapałem, z jakim walczyłyby o ostateczne zbawienie. Nie mamy tu do czynienia z banalnym oburzeniem na internetowych idoli, lecz z głęboką antropologią polityczną poddaństwa, w której zniewolenie zostaje paradoksalnie przeżyte jako akt najwyższej autonomii. To właśnie tutaj kryje się intelektualny rdzeń całej analizy, pokazujący, jak sprawnie można zarządzać ludzkim pragnieniem wolności, by ostatecznie skierować je na tory jeszcze głębszego podporządkowania. W tym przewrotnym teatrze cieni każda

próba buntu zostaje natychmiast skapitalizowana i włączona w obieg rynkowy jako kolejny produkt tożsamościowy.

Prawdziwe mistrzostwo współczesnego oszusta zaufania polega na tym, że nigdy nie mówi on wprost o podporządkowaniu, lecz zawsze używa uwodzicielskiego języka samorealizacji i odzyskiwania sprawstwa. Zamiast nakazu służby hierarchii, słyszymy zachętę do znalezienia swojego miejsca w naturalnym porządku, a zamiast akceptacji wyzysku, otrzymujemy obietnicę zostania zwycięzcą w rynkowej dżungli. Jest to oszustwo najwyższej klasy, ponieważ jego retoryka brzmi jak autentyczna emancypacja, podczas gdy w rzeczywistości służy jedynie hodowli posłusznych ego, idealnie skrojonych pod potrzeby kapitału. Kapitał nie musi już łamać człowieka brutalną siłą, jeśli zdoła go przekonać, że kij używany do dyscyplinowania jest w istocie niezbędnym narzędziem samodoskonalenia i hartowania ducha. W tym sensie Peterson, Musk i Tate to jedynie trzy maski tej samej epoki, z których każda przemawia do innej grupy lęków i niespełnionych ambicji.

Choć każdy z tych liderów opinii posługuje się innym dialektem, wszyscy oni operują w ramach tej samej gramatyki antymaterializmu, czyli ucieczki od realnych warunków życia ku sferze mitu i woli. Antymaterializm ten nie polega na unikaniu tematów takich jak pieniądze czy biologia, lecz na odbieraniu im jakiejkolwiek historycznej i społecznej konkretności na rzecz abstrakcyjnych metafor. Peterson mówi o hierarchii jako o wiecznej strukturze bytu, całkowicie ignorując fakt, że jest ona produktem konkretnych instytucji, prawa własności oraz systemowej przemocy. Musk z kolei promuje longtermizm, czyli ideologię przedkładającą abstrakcyjną przyszłość ludzkości nad bieżące problemy etyczne, co pozwala mu przedstawiać przedsiębiorczość jako czystą emanację indywidualnego geniuszu. Tate natomiast oferuje męskość kompensacyjną, czyli model tożsamości oparty na dominacji, traktując pieniądz jak trofeum drapieżnika, a nie jako relację społeczną, której źródłem jest zawsze cudza praca.

W każdym z tych przypadków rzetelna analiza materialna zostaje zastąpiona przez efektowny teatr mocy, w którym siła woli ma rzekomo unieważniać obiektywne ograniczenia ekonomiczne i społeczne. Toy politics, czyli praktyka polegająca na redukcji złożonych problemów politycznych do kategorii psychologicznych, pozwala tym figurom na monetyzację afektu bez konieczności mierzenia się z realną zmianą systemową. Zamiast wyprowadzać swoich wyznawców z opresyjnych struktur, oferują oni jedynie płatny dostęp do ich bardziej komfortowych nisz, obiecując dominację tam, gdzie w rzeczywistości panuje głęboka zależność. Ostatecznie mechanizm ten służy konserwacji status quo, oferując wyczerpanym jednostkom iluzję buntu, która w rzeczywistości jest jedynie najbardziej wyrafinowaną formą lojalności wobec systemu. Gdyby samo działanie i skuteczność rynkowa były wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby uznany za

najlepszego farmaceutę w lesie, co doskonale obrazuje pułapkę, w którą wpadamy, ufając prorokom algorytmicznego kapitalizmu.

Maszyna do produkcji sensu: jak algorytmy monetyzują gniew

Aby pojąć ten fenomen, musimy porzucić nadzieję na proste wyjaśnienia i sięgnąć po interdyscyplinarny zestaw narzędzi, który przypomina aparaturę do rozbrajania bomb symbolicznych. Socjologia rzuca światło na zjawiska alienacji, anomii i prekaryzacji, podczas gdy ekonomia polityczna obnaża, jak rosnące nierówności tworzą chłonny rynek dla agresywnych, prymitywnych recept na życie. Prawo usiłuje wytyczyć granice między wolnością słowa a odpowiedzialnością platform, natomiast antropologia kulturowa przypomina, że człowiek w kryzysie nie łaknie twardych danych, lecz rytuału i wspólnoty. Psychologia społeczna dopełnia ten obraz mechanizmami poznawczego domknięcia i relacji paraspołecznych, gdzie efekt guru sprawia, że spiskowa prostota staje się kojącym balsamem na chaos. Bez tej optyki dostrzeżemy jedynie medialny skandal, przeoczając maszynę, która go produkuje i systematycznie monetyzuje; wszak struktura płynąca pod spodem jest istotniejsza niż pojedynczy eksces.

Skandal krzyczy przez tydzień, ale system inkasuje zyski przez całe dekady, bowiem to właśnie algorytmiczne wzmocnienie treści nadaje dynamikę współczesnej manosferze. Podatność na radykalne przekazy nie wynika z prostej głupoty odbiorców, lecz z bolesnego przecięcia lęku statusowego, samotności oraz poczucia głębokiej niesprawiedliwości. Męskość kompensacyjna, czyli model tożsamości oparty na dominacji, oferowany jako lekarstwo na poczucie marginalizacji, staje się atrakcyjnym towarem w świecie rozmytych ról społecznych. Badania wskazują, że młodzi mężczyźni śledzący manfluencerów częściej akceptują dehumanizujące postawy wobec kobiet, co bywa bezpośrednio powiązane z poczuciem zagrożenia ich własnego statusu. Mizoginia bywa coraz częściej mainstreamowana przez logikę TikToka oraz performatywne waluty homospołeczne, czyli cyfrowe nagrody przyznawane za pokazową twardość, pogardę i antyfeministyczny dowcip.

Andrew Tate nie jest jedynie złym człowiekiem mówiącym złe rzeczy, lecz stanowi kluczowy węzeł w systemie dystrybucji afektu, idealnie kompatybilny z architekturą platform. Monetyzacja afektu, czyli przekształcanie silnych emocji, takich jak gniew, w zysk, sprawia, że jego przekaz działa z siłą fizycznego prawa natury. Krótki format, brutalna sentencja i estetyka luksusu są doskonale zestrojone z algorytmicznym kapitalizmem, w którym uwaga użytkowników jest towarem przetwarzanym przez bezduszne mechanizmy rekomendacji. Algorytm nigdy nie pyta o prawdę, lecz o retencję – tę małą boginię platformowego piekła, która kocha konflikt znacznie bardziej niż

merytoryczny niuans. Gdyby Arystoteles założył dziś konto, musiałby walczyć o zasięgi z człowiekiem krzyczącym z Bugatti, że empatia jest dla przegranych, przy czym nie jest pewne, czy Stagiryta wygrałby tę rundę.

W XIX wieku pytano o zegarek, natomiast w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości, którą platformy formatują pod dyktando maksymalnego zaangażowania. Trzeba jednak zachować intelektualną uczciwość i dostrzec, że manosfera nie jest monolitem, a proces radykalizacji nie dotyka każdego odbiorcy w identycznym stopniu. Nie każdy fan Muska marzy o brutalnym kapitalizmie, tak jak nie każdy czytelnik Petersona staje się apologetą sztywnych hierarchii społecznych. Dostępne badania sygnalizują, że wielu użytkowników zachowuje zdolność do krytycznego dystansu, traktując te treści raczej jako formę cyfrowego spektaklu niż instrukcję obsługi życia. Niemniej jednak systemowa presja na uproszczenia sprawia, że owa zdolność do niuansowania jest nieustannie wystawiana na ciężką próbę przez mechanizmy promujące skrajności.

Luksusowa sofistyka: jak handlarze sensem prywatyzują cierpienie

To jednak nie unieważnia problemu, lecz czyni go znacznie bardziej subtelnym i trudniejszym do uchwycenia w tradycyjnych kategoriach socjologicznych. Nie mamy tu bowiem do czynienia z magicznym automatem radykalizacji, w którym jeden obejrzany film zmienia przypadkowego nastolatka w ideologa przemocy. Chodzi raczej o długofalową normalizację języka, w którym solidarność zaczyna brzmieć naiwnie, równość jawi się jako spisek, a dominacja zostaje uznana za jedyny zdrowy rozsądek. W XIX wieku pytano o zegarek, natomiast w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości. Frim i Fluss są interesujący właśnie dlatego, że nie zatrzymują się na jałowym moralnym potępieniu, lecz dążą do odsłonięcia głębokiej filozofii stojącej za tymi zjawiskami. Ich celem jest dekonstrukcja światopoglądu, w którym silna wola ma rzekomo nadpisać fakty, naturę oraz obiektywną rzeczywistość społeczną.

Oficjalny opis ich książki formułuje to niemal wprost, wskazując na niebezpieczne przekonanie, że rzeczywistość można po prostu przepisać mocą indywidualnej woli. To jest punkt kardynalny dla zrozumienia współczesnych handlarzy sensem, u których prawda przestała być zgodnością myśli z rzeczywistością. W świecie confidence men prawda jest tym, co ostatecznie wygrywa w rynkowej rywalizacji o uwagę i kapitał. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, niemniej w tej logice prawda jest narracją, która skutecznie podporządkowuje odbiorców i stabilizuje hierarchię. Prawda zostaje zredukowana do czystej skuteczności, co otwiera

drogę do niebezpiecznych nadużyć. A kiedy prawda staje się wyłącznie funkcją efektywności, kłamstwo potrzebuje już tylko sprawnej strategii marketingowej, by zająć jej miejsce w debacie publicznej.

Jordan Peterson jawi się w tym układzie jako mistyk porządku, Elon Musk jako technologiczny mesjasz kapitału, a Andrew Tate jako brutalistyczny kaznodzieja dominacji. Peterson przekonuje, że cierpisz wyłącznie dlatego, iż nie uporządkowałeś własnego wnętrza i najbliższego otoczenia. Musk sugeruje, że twoje cierpienie wynika z braku wystarczająco wielkiej, futurystycznej wizji, która nadałaby sens trudom codzienności. Tate natomiast głosi, że cierpisz, bo jesteś słaby i pozwalasz innym na przejmowanie zasobów, które powinny należeć do ciebie. Wszystkie te trzy odpowiedzi mają jedną wspólną, fundamentalną cechę: konsekwentnie odwracają one wzrok od struktur społecznych. Zamiast analizować system, oferują one metafizyczny energetyk dla klasy wyczerpanej, który pozwala na chwilę zapomnieć o realnych przyczynach frustracji.

Toy politics, czyli praktyka polegająca na redukcji złożonych problemów politycznych do kategorii psychologicznych i temperamentów, pozwala tym liderom opinii na całkowite wymazanie kontekstu ekonomicznego. Nie pytaj o prawo pracy, koncentrację własności, kryzys mieszkaniowy czy mediatyzację samotności, która staje się towarem. Zapomnij o regresie usług publicznych, deregulacji platform cyfrowych, erozji instytucji edukacyjnych oraz wszechobecnej przemocy ekonomicznej. Zapytaj raczej samego siebie, czy masz w sobie dość dyscypliny, wizji albo testosteronu, by pokonać systemowe przeszkody. Tak właśnie działa luksusowa sofistyka epoki podcastu, która zamienia strukturalny opór w indywidualny trening mentalny. Petersonowskie wezwanie do posprzątania swojego pokoju jest w tej perspektywie sloganem o niezwykle głębokim, podwójnym dnie.

Na pierwszym poziomie jest to przecież rozsądna porada psychologiczna, z którą trudno polemizować bez popadania w teatralny absurd. Człowiek, który porządkuje swoje najbliższe otoczenie, może rzeczywiście odzyskać elementarną sprawczość i poczucie kontroli nad własnym życiem. Ale na drugim poziomie ta porada staje się politycznym filtrem, sugerującym, że nie masz prawa krytykować świata, dopóki nie osiągniesz moralnej doskonałości. Ponieważ nikt z nas nie jest moralnie doskonały, krytyka niesprawiedliwego systemu zostaje odroczona na wieczne nigdy. Rewolucja ma poczekać, aż wyprasujesz wszystkie koszule i ostatecznie uleczysz skomplikowaną relację z ojcem. System oddycha z ulgą, gdy energia buntu zostaje skierowana do wewnątrz, w stronę niekończącej się autoterapii.

To jest właśnie klasyczna figura kapłana ascetycznego, który nie usuwa cierpienia, lecz nadaje mu sens czyniący cierpiącego bardziej posłusznym. Kapłan przekonuje, że twój ból jest znakiem konieczności dalszej pracy nad sobą, a nie sygnałem wadliwej organizacji społeczeństwa. Jesteś

przepracowany? To zapewne znak, że brakuje ci odpowiedniej dyscypliny w zarządzaniu własnym czasem. Nie stać cię na mieszkanie? To dowód na to, że twoje życie nie jest jeszcze dostatecznie zorganizowane i wydajne. Świat społeczny znika z pola widzenia, a w jego miejsce pojawia się wszechobecna psychologia winy. Ekonomia polityczna zostaje zastąpiona moralistyką szuflady z bielizną, co skutecznie pacyfikuje wszelkie dążenia do realnej zmiany.

W tym miejscu trzeba być jednak precyzyjnym, bowiem nie każda samopomoc jest reakcyjna i nie każda dyscyplina stanowi fałszywą świadomość. Nie każde wezwanie do brania odpowiedzialności za własne życie jest oszustwem, przy czym problem zaczyna się w konkretnym punkcie. Zaczyna się on wtedy, gdy odpowiedzialność jednostki zostaje użyta jako pałka przeciwko jakiejkolwiek rzetelnej analizie strukturalnej. Dojrzała myśl społeczna potrafi powiedzieć jednocześnie, że człowiek posiada sprawczość oraz że żyje w warunkach, których sam nie wybrał. Ideologia confidence men wypowiada tylko pierwszą połowę tego zdania, ponieważ druga połowa jest politycznie zbyt niebezpieczna dla status quo. Musk operuje analogicznym przesunięciem, ale czyni to w rejestrze futurystycznym, odraczając cierpienie w czasie.

Dzisiejsze koszty, konflikty i realne szkody społeczne mają zostać usprawiedliwione przez jutro tak wielkie, że nikt nie śmie zapytać o fakturę. Longtermizm, czyli ideologia przedkładająca abstrakcyjną przyszłość ludzkości nad bieżące problemy społeczne, służy liderom technologicznym jako moralne uzasadnienie dla bezwzględności. Teoria symulacji, kolonizacja Marsa, sztuczna inteligencja i cyborgiczne fantazmaty tworzą etykę znajdującą się całkowicie poza zasięgiem zwykłej odpowiedzialności. Jeśli ktoś buduje świetlaną przyszłość całego gatunku, to skarga pojedynczego pracownika wygląda jak drobnomieszczańskie marudzenie w przedsionku kosmicznej epopei. W tym miejscu aktualizacja faktograficzna staje się niezbędna, by zrozumieć skalę tego zjawiska.

Musk nie jest już wyłącznie przedsiębiorcą technologicznym i celebrytą kapitału, lecz figurą jawnie polityczną, co potwierdzają doniesienia Reutersa z 2025 roku. Opisywano tam jego kluczową rolę w działaniach DOGE, związanych z drastyczną redukcją zatrudnienia w administracji federalnej USA, gdzie skala zwolnień była liczona w setkach tysięcy. Jednocześnie narastały spory o realne oszczędności, zakres uprawnień wykonawczych oraz dalekosiężne skutki społeczne tej gwałtownej polityki. Ta ewolucja wzmacnia diagnozę Frima i Flussa, bowiem technomesjanizm bardzo łatwo przechodzi w administracyjną brutalność. Człowiek przekonany o własnej misji dziejowej zaczyna traktować instytucje publiczne jak kolejną platformę do bezwzględnego przejęcia i optymalizacji.

Musk sprzedaje wizję, w której fizyka jest jedynym twardym prawem, a reszta to tylko rekomendacje, niemniej politycznie praktykuje on woluntaryzm menedżerski. W tym modelu społeczeństwo jest traktowane jak źle zoptymalizowany kod, a obywatel staje się jedynie rekordem w bazie danych. Urząd staje się kosztem, pracownik zmienną, a demokracja uciążliwym

opóźnieniem systemowym, które należy wyeliminować dla dobra postępu. To nie jest racjonalizm techniczny, lecz metafizyka dominacji przebrana za nowoczesny dashboard. Andrew Tate stanowi natomiast brutalny skrót tej logiki, gdzie męskość kompensacyjna staje się lekarstwem na marginalizację. Tate nie wyprowadza z Matrixa, tylko sprzedaje płatny dostęp do piwnicy Matrixa, w której hierarchia jest jeszcze bardziej bezwzględna.

Mechanika manipulacji: jak handlarze sensem monetyzują lęk

W świecie Andrew Tate'a rzeczywistość jest binarna i bezlitosna: istnieje Matrix, pieniądze, ciało, kobieta traktowana jako trofeum oraz mężczyzna jako drapieżnik krążący po cyfrowym polu łowieckim. Choć ten przekaz wydaje się prymitywny, nie wolno nam popełnić błędu lekceważenia go, gdyż w brutalnej gospodarce uwagi prostota stanowi potężną przewagę konkurencyjną. Tam, gdzie intelektualny niuans potrzebuje czasu na wybrzmienie, agresja potrzebuje zaledwie kilkusekundowego klipu, by zainfekować wyobraźnię masowego odbiorcy. Musimy jednak zachować faktograficzną rzetelność, pamiętając o doniesieniach agencji Reuters dotyczących postępowań karnych braci Tate w Rumunii, którym ci konsekwentnie zaprzeczali. Dopiero w 2025 roku brytyjska prokuratura sformułowała dziesięć zarzutów wobec Andrew, obejmujących gwałt i handel ludźmi, co rzuca ponury cień na jego wizerunek wyzwoliciela. Tate nie wyprowadza przecież z Matrixa, tylko sprzedaje płatny dostęp do piwnicy Matrixa, obiecując wolność, która jest jedynie inną formą zniewolenia.

Niezależnie od ostatecznych wyroków sądowych, które zapadały w 2026 roku po wyłączeniu części dowodów przez rumuńskie trybunały, analiza ideologiczna Tate'a operuje w zupełnie innej jurysdykcji rozumu. Podczas gdy prawo ocenia winę procesową, krytyka kulturowa musi zdiagnozować społeczny mechanizm przemocy symbolicznej, w którym influencer występuje jako swoisty elektroniczny alfons. Nie chodzi tu wyłącznie o dosłowne zarzuty obyczajowe, lecz o głębszy poziom antropologiczny, gdzie pośredniczy on w sprzedaży pragnienia bezwzględnej dominacji. Jego zwolennik nie płaci za kurs biznesowy czy dostęp do zamkniętej społeczności, lecz kupuje uwodzicielską fantazję, że własne upokorzenie można uleczyć poprzez upokarzanie innych. To swoista alchemia resentymentu, obiecująca, że z samotności wykuje się władzę, a z paraliżującego lęku powstanie czysta, rynkowa agresja. Męskość kompensacyjna, czyli model tożsamości oparty na dominacji oferowany jako lekarstwo na poczucie marginalizacji, staje się tu głównym produktem eksportowym.

Ta mroczna magia rynku okazuje się niestety znacznie skuteczniejsza niż najbardziej dofinansowane kampanie edukacyjne, ponieważ algorytmiczny kapitalizm doskonale wie, że zranione ego najszybciej wyciąga kartę płatniczą. Wszystkie analizowane przypadki – od Tate'a po Petersona i Muska – łączy fenomen paraspołecznego autorytetu, budującego złudną więź między nadawcą a anonimowym tłumem. Odbiorca, choć nigdy nie spotkał swoich idoli, ma dojmujące poczucie obcowania z kimś bliskim, kto wreszcie mówi bezpośrednio do niego, bez zbędnych filtrów. Platformy cyfrowe dokonały tu fundamentalnego przesunięcia, przekształcając dawny autorytet instytucjonalny w autorytet intymności, szeptany prosto do ucha przez słuchawki smartfona. Profesor, miliarder i influencer stają się codziennymi towarzyszami, którzy reagują emocjonalnie i prowokują, wytwarzając iluzję bliskości asymetryczną niczym średniowieczny hołd lenny, tyle że z lepszym mikrofonem.

W tej nowej ekonomii platformowej uwaga jest najtwardszą walutą, afekt służy za paliwo, a tożsamość staje się jedynie produktem ubocznym procesów monetyzacji. Monetyzacja afektu, czyli przekształcanie silnych emocji takich jak gniew czy lęk w zysk poprzez treści cyfrowe, stanowi fundament, na którym ci liderzy budują swoje imperia. Kto potrafi dostarczyć zagubionemu odbiorcy wyraźnego wroga, poczucie sensu oraz rytm dnia, ten bez trudu przejmuje znaczną część jego autonomii. Nie ma już potrzeby zakładania partii politycznych w tradycyjnym sensie, skoro wystarczy założyć kanał i regularnie dostarczać emocjonalne skróty zamiast doktryn. Większość ludzi nie zamieszkuje przecież wewnątrz skomplikowanych systemów filozoficznych, lecz żyje w powtarzalnych frazach, które w chwilach stresu uruchamiają się szybciej niż jakikolwiek logiczny argument. Toteż bon moty, te retoryczne pociski, odgrywają tak kluczową rolę w walce o rząd dusz, zastępując żmudną debatę błyskawicznym odruchem.

Formuły takie jak „Oprah dla inceli" czy wezwanie do sprzątania pokoju nie są jedynie ozdobnikami, lecz precyzyjnymi narzędziami walki o zwięzłość w epoce algorytmicznej. W świecie, w którym reakcja musi wyprzedzać namysł, krytyka również potrzebuje własnej amunicji, zdolnej przebić się przez szum informacyjny i zagnieździć w pamięci. Oczywiście sam pocisk retoryczny bez solidnego zaplecza teoretycznego jest tylko efektownym fajerwerkiem, ale teoria pozbawiona siły rażenia pozostaje biblioteką zamkniętą na cztery spusty. Naukowy sens tej analizy polega zatem na połączeniu trzech poziomów: psychologicznej potrzeby statusu, ekonomicznej niepewności oraz politycznego rozbrojenia solidarności. Bez tego trójpoziomowego aparatu widzimy jedynie medialny skandal, podczas gdy system w ciszy inkasuje zyski przez kolejne dekady, karmiąc się naszym oburzeniem. Skandal krzyczy przez tydzień, system inkasuje przez dekady – to brutalna prawda o współczesnym obiegu informacji.

Landon Frim i Harrison Fluss proponują racjonalistyczną alternatywę wobec tych reakcyjnych form samopomocy, odrzucając mistyczne nadpisywanie rzeczywistości czystą wolą na rzecz głębokiego zrozumienia świata. Racjonalizm nie jest tu nudną cnotą profesorów o suchym gardle, lecz praktyką emancypacyjną, będącą kategoryczną odmową życia wewnątrz cudzej, narzuconej halucynacji. To fundamentalne prawo do zadawania pytań o to, kto zyskuje na mojej winie, kto zarabia na mojej frustracji i kto buduje swoją władzę na fundamencie mojej samotności. Jeśli Musk twierdzi, że odległa przyszłość galaktyki usprawiedliwia dzisiejszą niesprawiedliwość, racjonalista odpowie, że żadna kolonizacja Marsa nie zwalnia z odpowiedzialności wobec pracownika na Ziemi. Podobnie Tate, nazywając świat Matrixem, nie staje się wyzwolicielem, jeśli jedyne, co oferuje, to nowa klatka z neonowym podświetleniem i płatnym dostępem do piwnicy. Wszak wolność nie polega na zmianie dekoracji w celi, lecz na wyjściu poza mury więzienia.

Jordan Peterson jawi się jako postać najbardziej interesująca intelektualnie, ponieważ jego retoryka nie przychodzi do odbiorcy w skórzanej kurtce gangstera ani w futurystycznym kombinezonie technomesjasza. On wybiera kostium profesora, zaczynając swoją opowieść niemal terapeutycznie, od wezwań do uporządkowania siebie, mówienia prawdy i przyjęcia osobistej odpowiedzialności za własny los. Te hasła brzmią jak moralna higiena osobista, a nie jak radykalny projekt polityczny, co stanowi o ich niezwykłej skuteczności w przyciąganiu ludzi spragnionych struktury. W krytycznej rekonstrukcji Frima i Flussa Peterson nie jest jednak zwykłym popularyzatorem psychologii, lecz ideologicznym operatorem przejścia między indywidualnym cierpieniem a konserwatywną metafizyką. Jego największą sztuczką jest przekształcenie egzystencjalnej dezorientacji jednostki w bezwarunkową akceptację hierarchii, gdzie człowiek przychodzi po poradę, a wychodzi z mitem społecznym.

Proces ten przypomina klasyczny mechanizm konwersji, w którym samopomoc służy jedynie jako atrakcyjny przedsionek do znacznie mroczniejszej świątyni ideologicznej. Nikt nie każe zagubionemu odbiorcy od razu klękać przed hierarchią; najpierw dostaje on miotłę, potem dekalog, a na końcu całą metafizykę homarów i archetypów. Hasło o sprzątaniu pokoju jest genialnym instrumentem retorycznym, ponieważ na poziomie elementarnej psychologii wydaje się niemal niemożliwe do podważenia przez zdrowy rozsądek. Problem pojawia się jednak w momencie, gdy ta drobna praktyka zostaje podniesiona do rangi nadrzędnej zasady politycznej, odraczającej krytykę świata zewnętrznego na wieczne nigdy. W ten sposób system może spać spokojnie, podczas gdy potencjalna rewolucja społeczna utknęła na dobre w domowej pralce, mieląc jedynie poczucie winy jednostki. Toy politics, czyli redukcja złożonych problemów społecznych do kategorii psychologicznych, pozwala tu skutecznie spacyfikować wszelki gniew skierowany przeciwko instytucjom.

Autorzy rozpoznają w Petersonie figurę kapłana ascetycznego, znaną z Nietzscheańskiej analizy moralności, który nie likwiduje cierpienia, lecz sprytnie je przechwytuje i interpretuje na korzyść status quo. Kapłan ten dba o to, aby cierpiący nie skierował swojego gniewu na zewnętrzne warunki życia, lecz zamiast tego biczował się własną niedoskonałością i brakiem dyscypliny. Jeśli nie znajdujesz miejsca w świecie, problemem nie jest prekaryzacja rynku pracy czy erozja wspólnot, lecz twój pokój, twój ojciec i twoja rzekoma niezdolność do heroicznego dźwigania bytu. Taka narracja skutecznie rozbraja wszelkie próby zbiorowego oporu, sugerując, że każda próba zmiany instytucji jest jedynie przejawem niedojrzałości i braku moralnego uporządkowania. Nie oznacza to oczywiście, że odpowiedzialność jednostki jest fikcją, gdyż takie stwierdzenie byłoby zbyt łatwe i intelektualnie leniwe, by mogło być prawdziwe. Niemniej jednak, gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a Peterson zbawcą klasy wyczerpanej.

Oszustwo zaufania, czyli mechanizm sprzedaży gotowych światopoglądów osobom zagubionym w chaosie współczesności, pozwala tym liderom na budowanie systemów władzy niemal bez oporu. Każdy z nich oferuje mapę wyjścia z labiryntu, który sam pomaga utrzymywać, monetyzując przy tym każdą chwilę wahania i niepewności swojego odbiorcy. W XXI wieku nie pyta się już o zegarek, lecz pyta się o twoją interpretację rzeczywistości, którą można kupić w formie subskrypcji lub kursu. Prawdziwy problem polega na tym, że te cyfrowe systemy sensu rzadko prowadzą do autentycznej autonomii, częściej zaś do nowej formy lojalności wobec algorytmicznych guru. Zamiast naprawiać świat, każą ci posprzątać pokój, zapominając dodać, że dom, w którym ten pokój się znajduje, właśnie staje w płomieniach. Ostatecznie walka o sens staje się walką o rynkową dominację, w której stawką jest nie tylko nasz czas, ale przede wszystkim nasza zdolność do samodzielnego myślenia.

Pułapka użyteczności: jak Peterson instrumentalizuje prawdę

Człowiek niewątpliwie posiada moralny obowiązek formowania własnego charakteru, szlifowania codziennych nawyków oraz pielęgnowania elementarnej zdolności do bycia prawdomównym wobec samego siebie. Niemniej jednak ideologia zaczyna się dokładnie w tym punkcie, w którym prawda cząstkowa zostaje podstępnie sprzedana jako prawda całkowita i ostateczna. Peterson bierze realną, niekwestionowaną cnotę indywidualnej odpowiedzialności, po czym sprawnie przekształca ją w filtr skutecznie zasłaniający realne stosunki społeczne. Przypomina to używanie precyzyjnej lupy do obsesyjnego obserwowania drżeń własnego sumienia, podczas gdy za oknem w najlepsze płonie

cała fabryka. Lupa jest wszak znakomitym narzędziem poznawczym, lecz problem polega na tym, że zupełnie nie służy ona do gaszenia pożarów.

Najbardziej spornym, a zarazem kluczowym elementem całej Petersonowskiej konstrukcji intelektualnej pozostaje jego specyficzne, niemal autorskie pojęcie prawdy. Kanadyjski psycholog chętnie występuje w roli ostatniego obrońcy obiektywizmu przeciwko relatywizmowi, postmodernizmowi oraz rzekomemu nihilizmowi współczesnej, radykalnej lewicy. Jednak wnikliwa krytyka wskazuje, że to właśnie on dokonuje fundamentalnego przesunięcia antyrealistycznego, które rozmywa granice poznania. Prawda przestaje być w jego ujęciu klasyczną zgodnością sądu z obiektywną rzeczywistością, stając się rodzajem biologicznie lub narracyjnie użytecznej orientacji w świecie. Prawdziwe jest zatem to, co pozwala gatunkowi przetrwać, co stabilizuje nasze codzienne działanie i co ustanawia pożądany porządek. Na pierwszy rzut oka taka definicja brzmi subtelnie, a może nawet głęboko, lecz właśnie tutaj kryje się najpoważniejsze niebezpieczeństwo.

Jeżeli kryterium prawdy zostaje przesunięte z twardego faktu na miękką funkcję, a z dowodu na egzystencjalną skuteczność, wówczas prawda może stać się maską władzy. Pojawia się bowiem zasadnicze pytanie: dla kogo owa prawda ma być w ostatecznym rozrachunku użyteczna? Czy służy ona jednostce szukającej sensu, czy może raczej wspólnocie, gatunkowi lub konkretnej, dominującej w danym momencie hierarchii? Jeśli mity uznajemy za prawdziwe tylko dlatego, że organizują one życie, to wiele mrocznych narracji może otrzymać niebezpieczny immunitet poznawczy. Mit narodu oblężonego, kult silnego wodza czy przekonanie o naturalnej podległości kobiet mogą przecież doskonale „działać” w określonych warunkach historycznych. Wszystkie te konstrukty potrafią nadawać sens cierpieniu, mobilizować masy do działania i cementować struktury, które bez nich dawno by upadły.

Problem polega jednak na tym, że skuteczność nigdy nie była i nie będzie synonimem moralnej niewinności. Trucizna wszak także działa, propaganda odnosi spektakularne sukcesy, a fanatyzm potrafi zorganizować życie milionów ludzi w sposób niezwykle sprawny. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a my musielibyśmy uznać każdą skuteczną manipulację za objawienie. Peterson deklaruje bezpardonową walkę z postmodernizmem, lecz w rzeczywistości sam wchodzi w jego najciemniejszą, niemal groteskową karykaturę. Prawda zostaje u niego całkowicie podporządkowana narracji, a ta z kolei musi służyć przetrwaniu określonego, tradycyjnego porządku symbolicznego. Oczywiście nie należy robić z niego Derridy w garniturze od psychologii klinicznej, gdyż jego cele są zgoła odmienne od akademickiej dekonstrukcji.

Chodzi raczej o pewien paradoks: człowiek najgłośniej oskarżający innych o relatywizm, sam rozszczelnia pojęcie prawdy, gdy tylko potrzebuje ochronić mit przed empirycznym sprawdzeniem.

Gdy fakty są dla niego wygodne, przemawia głosem nauki, lecz gdy zaczynają uwierać, natychmiast pojawia się niepodważalny archetyp. W tym miejscu do gry wchodzi biologia, a tuż za nią kroczy słynny już w popkulturze homar, mający legitymizować zastany porządek. Petersonowska opowieść o skorupiakach działa jako retoryczne zakotwiczenie ludzkich hierarchii w niewyobrażalnie głębokim czasie ewolucyjnym, co ma uciąć wszelką dyskusję. Skoro nawet prymitywne stworzenia walczą o status, a serotonina wiąże się z dominacją, to nierówność zaczyna wyglądać na kosmiczne prawo.

W takim ujęciu każda próba krytyki instytucji społecznych może zostać przedstawiona jako naiwny, a wręcz niebezpieczny bunt przeciwko samej naturze. Jest to klasyczny przykład polityki tożsamości, czyli praktyki polegającej na redukcji złożonych problemów politycznych do kategorii temperamentów i uproszczonych typologii, co pozwala na zastąpienie debaty publicznej testami osobowości. Lewica w tym sporze nie konfrontuje się już z konserwatywnym intelektualistą, lecz ma wrażenie, że musi polemizować z samym oceanem. Krytycy słusznie demaskują ten chwyt jako pseudonaukowy biologizm, który ignoruje fakt, że człowiek jest istotą wykraczającą poza proste instynkty. Oczywiście, że biologia ma ogromne znaczenie, wszak jesteśmy istotami ucieleśnionymi, osadzonymi w neurochemii oraz ewolucyjnych ograniczeniach poznawczych.

Niemniej jednak z tego faktu nie wynika wcale, że współczesne społeczeństwo ma być prostą kontynuacją brutalnej walki skorupiaków o dno morza. Między faktem biologicznym a normą społeczną istnieje głęboka przepaść, którą należy przekroczyć za pomocą argumentu etycznego, prawnego oraz politycznego. Peterson zbyt często zachowuje się tak, jakby wystarczyło wskazać dowolną analogię w naturze, aby uzyskać pełną legitymację dla konkretnego porządku. To błąd naturalistyczny ubrany w elegancką marynarkę, który ignoruje fakt, że przyroda jest zbyt bogata, by służyć tylko jednej ideologii. Można w niej znaleźć bezwzględną dominację, ale równie łatwo odszukamy przykłady fascynującej kooperacji, symbiozy oraz zaawansowanych strategii wzajemności.

Jeżeli ktoś wybiera z królestwa zwierząt wyłącznie homara i hierarchię, to w rzeczywistości nie odkrywa on obiektywnej prawdy o naturze. On po prostu prowadzi casting do własnego mitu, traktując przyrodę jak magazyn rekwizytów pasujących do scenografii konserwatywnego dramatu. Takie podejście sprawia, że nauka przestaje być narzędziem poznania, a staje się jedynie dostarczycielem wygodnych metafor dla wcześniej przyjętych założeń. W XIX wieku pytano o zegarek, szukając dowodu na istnienie projektanta, natomiast w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości, by uzasadnić status quo. Ostatecznie Petersonowska prawda okazuje się nie tyle opisem świata, ile instrukcją obsługi hierarchii, w której każdy ma znać swoje miejsce.

To nie jest droga do wolności, lecz elegancko wybrukowana ścieżka do akceptacji losu, który rzekomo zapisały nam geny i ewolucja.

Mitologia porządku: jak Peterson naturalizuje patriarchat

Z perspektywy nauk społecznych hierarchia nie jest ani metafizycznym przekleństwem, ani zbawiennym dogmatem, lecz pragmatyczną formą organizacji różnic. Może ona służyć koordynacji działań i precyzyjnemu podziałowi odpowiedzialności, lecz równie dobrze staje się wehikułem dla dziedziczenia przywilejów oraz systemowej przemocy symbolicznej. W nowoczesnym państwie prawa każda struktura władzy musi poddać się rygorom legitymizacji, przejrzystości oraz stałej kontroli społecznej. Bez możliwości zakwestionowania szczytu piramidy porządek staje się jedynie estetyczną maską dla surowej dominacji silniejszych nad słabszymi. Hierarchia wymaga bowiem ciągłego uzasadniania swojego istnienia przed tymi, którzy znajdują się na jej najniższych szczeblach.

Struktura społeczna nie zyskuje statusu świętości tylko dlatego, że na dnie oceanu jakiś skorupiak wygrał bójkę o terytorium. Petersonowska sakralizacja hierarchii stanowi w tym kontekście nie tyle rzetelną naukę, ile misternie tkaną mitografię polityczną o konserwatywnym wektorze. Podczas gdy nauka z mozołem bada konkretne mechanizmy społeczne, mitografia zajmuje się nadawaniem tym mechanizmom aury dziejowej konieczności i dostojeństwa. To subtelna różnica między opisem działania silnika a próbą przekonania pasażerów, że tłoki poruszają się zgodnie z wolą bogów. W ten sposób biologia zostaje zaprzęgnięta do rydwanu ideologii, która ma uśmierzyć lęk przed nieuchronną zmianą.

Drugim filarem tej konstrukcji jest binarna wojna z chaosem, w której kobiecość zostaje utożsamiona z naturą, niebezpieczeństwem i nieprzewidywalnym rozproszeniem. Z kolei porządek, skojarzony z męskością, kulturą i ojcowskim prawem, staje się jedyną tamą chroniącą cywilizację przed zalewem emocjonalności. Choć ta symboliczna opozycja jest głęboko zakorzeniona w tradycjach religijnych, u Petersona zyskuje ona status niemalże psychopolitycznej mapy współczesnego świata. Problem nie tkwi w samym istnieniu tego archetypu, lecz w jego potężnym normatywnym przeciążeniu, które zaczyna dyktować warunki współczesnego życia. W ten sposób mityczny kod zaczyna porządkować płeć, władzę i rodzinę, naturalizując przy tym skostniałe struktury patriarchalne.

Właśnie tutaj krytyka feministyczna i antropologiczna staje się niezbędnym narzędziem dekonstrukcji tych uproszczonych, niemalże bajkowych wizji rzeczywistości społecznej. Płeć nie jest przecież wyłącznie faktem biologicznym, lecz polem złożonej interakcji między ciałem, językiem, instytucjami oraz ekonomią opieki. Peterson drastycznie redukuje tę wielowymiarowość, gdy z mitologicznych opowieści o chaosie wyprowadza sugestie dotyczące rzekomej naturalności określonych ról społecznych. W jego ujęciu archetyp przestaje być subtelnym narzędziem interpretacji kultury, a staje się surowym instrumentem dyscyplinującym jednostkę. Zamiast pomagać nam zrozumieć świat, archetyp zaczyna wydawać kategoryczne polecenia, których nie wolno ignorować pod karą wykluczenia.

Stosunek Petersona do feminizmu czy marksizmu ujawnia głęboką niechęć do nowoczesnych ruchów emancypacyjnych, postrzeganych jako groźne symptomy cywilizacyjnego chaosu. W tej narracji dążenie do równości jawi się jako przejaw resentymentu, dekonstrukcji oraz niebezpiecznego oderwania od fundamentów rzeczywistości. Badacze tacy jak Fromm i Foucault dostrzegają w tym reakcję obronną człowieka, dla którego każda zmiana status quo jest metafizycznym zagrożeniem. To nie jest zwykły spór o akademickie definicje, lecz autentyczna panika statusowa przełożona na podniosły język nadchodzącej apokalipsy. Gdy grupy dotąd podporządkowane domagają się uznania, stary porządek słyszy nie prośbę o sprawiedliwość, lecz przerażający trzask pękającego kosmosu.

Peterson staje się tu czołowym reprezentantem konserwatywnej psychologizacji konfliktów społecznych, która systemowo ignoruje realne, instytucjonalne źródła nierówności i napięć. Zjawisko to można określić jako toy politics, czyli praktykę redukowania złożonych problemów politycznych do kategorii temperamentów, niedojrzałości lub ideologicznego opętania. Zamiast analizować błędy w prawie czy niesprawiedliwość ekonomiczną, sprowadza się gniew wykluczonych do patologii duszy lub błędu poznawczego. To niezwykle wygodna strategia, ponieważ jeśli protest jest jedynie objawem choroby psychicznej, nie ma potrzeby reformowania żadnych instytucji. W XIX wieku pytano o zegarek, w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości, byle tylko nie zmieniać systemu. Jeżeli gniew uznamy za patologię, nie musimy już pytać o krzywdę, która go wywołała.

Mitologia zła: dlaczego Peterson trywializuje historię nazizmu

Jeśli feminizm definiujemy jako pierwotny chaos, wówczas patriarchat może z powodzeniem udawać jedyną dostępną strukturę sanitarną, chroniącą nas przed ostatecznym rozpadem.

Najbardziej zapalny punkt krytyki, jaką sformułowali Frim i Fluss, dotyczy jednak Petersonowskich diagnoz na temat Hitlera, nazizmu oraz istoty totalitaryzmu. Warto w tym miejscu zachować chirurgiczną precyzję i nie zamieniać rzetelnej polemiki w oskarżycielski automat, który bezrefleksyjnie przypisuje kanadyjskiemu psychologowi intencje apologetyczne. Peterson wielokrotnie i dobitnie nazywał nazizm złem wcielonym, więc zarzucanie mu prostej sympatii do Trzeciej Rzeszy byłoby intelektualnie nieuczciwe. Problem, przed którym stawiają nas jego krytycy, jest znacznie subtelniejszy, a przez to – paradoksalnie – o wiele poważniejszy w swoich skutkach.

Kluczowy zarzut dotyczy radykalnej psychologizacji i mitologizacji nazizmu, w wyniku której polityczna zbrodnia przeobraża się w tajemniczy wybuch zbiorowej ciemności lub archetypowy sen. W takim ujęciu Holokaust staje się ekspresją metafizycznego chaosu albo uniwersalną lekcją o mrocznych zakamarkach ludzkiej natury, co brzmi efektownie, lecz bywa zwodnicze. Takie podejście drastycznie osłabia analizę materialną, sprawiając, że konkretne interesy, instytucje państwowe, prawo, propaganda oraz przepływy kapitału schodzą na dalszy plan. Nazizm nie był przecież wyłącznie koszmarem duszy, lecz przede wszystkim sprawną administracją, ustawą, listą transportową i konkretną fabryką. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a Petersonowska wizja historii – kompletnym podręcznikiem politologii.

Kiedy opisujemy historię w sposób nazbyt mistyczny, ryzykujemy przekształcenie realnej odpowiedzialności w mroczną baśń o zbiorowym opętaniu przez demony przeszłości. Tymczasem baśń, nawet ta najbardziej ponura, bywa dla nas o wiele wygodniejsza niż chłodne, zakurzone archiwum, które nie wybacza metafor. Archiwum nie pyta o archetypy, lecz o konkretne podpisy pod wyrokami, o biurokratyczną gorliwość i technologiczne detale eksterminacji. Z punktu widzenia teorii odpowiedzialności to różnica absolutnie zasadnicza, ponieważ nowoczesna etyka wymaga precyzyjnego przypisania czynu, zamiaru oraz współsprawstwa konkretnym jednostkom. Mistyczna opowieść o złu jako odwiecznym archetypie może być pomocna w literaturze, ale nigdy nie zastąpi jurydycznej precyzji. Archiwum pyta o podpisy.

Zbrodnia nie jest mgłą unoszącą się nad historią, lecz posiada swoje bardzo konkretne, niemal rzemieślnicze procedury, które należy badać materialnie, a nie tylko symbolicznie. Petersonowska fascynacja archetypem bohatera, który porządkuje chaos i walczy ze smokiem, prowadzi do politycznie ryzykownego kultu jednostkowej siły. Jako struktura narracyjna wzór ten jest potężny i pociągający, lecz jako model uprawiania polityki staje się fundamentem dla autorytarnych tęsknot. Społeczeństwo nie jest przecież prywatnym mitem inicjacyjnym samotnego herosa, który schodzi do podziemia, by wydobyć skarb i wrócić odmienionym. Demokracja nie polega na tym, że

najwybitniejszy wojownik pokonuje mityczny chaos, lecz na budowaniu instytucji ograniczających władzę każdego, kto poczuje się zbyt wyjątkowy.

W tym miejscu Peterson spotyka się z szerszą tradycją antyliberalnego myślenia o porządku, gdzie psychologizacja polityki, czyli praktyka polegająca na redukcji złożonych problemów politycznych do kategorii psychologicznych, zastępuje debatę. Nie musi on otwarcie głosić zasady wodzostwa, aby jego wyobraźnia polityczna niebezpiecznie ciążyła ku skrajnej personalizacji ładu społecznego. Jeśli prawda staje się jedynie mitem skutecznego przetrwania, a hierarchia jest uznawana za naturalną i nienaruszalną, wówczas pojawia się pokusa zawierzenia przywódcy. Taki lider, rzekomo widzący głębiej niż reszta społeczeństwa, obiecuje ujarzmienie chaosu za cenę rezygnacji z krytycznego rozumu. A gdy ktoś widzi głębiej, zwykle żąda, by inni patrzyli ciszej.

Psychologia jako kadzidło: dlaczego Peterson nie jest naukowcem

Frim i Fluss celnie wprowadzają pojęcie toy politics, czyli praktykę redukowania złożonych problemów politycznych i społecznych do kategorii psychologicznych, temperamentów i uproszczonych typologii. W tej optyce nasze wybory przy urnie stają się jedynie pochodną wyników w teście Wielkiej Piątki, gdzie otwartość na doświadczenie lub sumienność mają rzekomo determinować losy państw. Owszem, psychologia polityczna od dekad bada te korelacje, niemniej problem pojawia się w momencie, gdy statystyczny trend zostaje podniesiony do rangi biologicznego przeznaczenia. Wówczas polityka przestaje być areną ścierania się interesów, wartości czy wizji sprawiedliwości, a zamienia się w teatr neurochemicznych odruchów. Konserwatysta jest po prostu więźniem swojego układu cech, a lewicowiec zakładnikiem innego, przy czym debata publiczna traci sens na rzecz analizy temperamentu. To klasyczny redukcjonizm przebrany w szaty realizmu.

Człowiek niewątpliwie posiada temperament, lecz błędem jest sądzić, że człowiek jest wyłącznie swoim temperamentem. Posiadamy predyspozycje, ale przecież zanurzeni jesteśmy w gęstej sieci języka, historii, przynależności klasowej, prawa, rynku oraz edukacji. Polityka jest materią zbyt kruchą i jednocześnie zbyt złożoną, aby dało się ją bez reszty domknąć w sztywnym modelu osobowości. Jeżeli bowiem zredukujemy poglądy do biologicznej dyspozycji, to w istocie odbieramy sens wszelkiej deliberacji; wszak po co kogokolwiek przekonywać, skoro karty zostały rozdane w kodzie genetycznym? Po co argumentować, skoro sumienność i otwartość już dawno rozstrzygnęły wynik sporu, zanim w ogóle padło pierwsze słowo? W ten sposób psychologia, zamiast rzucać

światło na mechanizmy ludzkiego działania, zaczyna je naturalizować, tworząc miękką poduszkę dla ochrony status quo.

Tu właśnie odsłania się antyoświeceniowy rdzeń całego projektu Petersona, który stoi w jawnej sprzeczności z ideałami uniwersalnego rozumu. Oświecenie zakładało przecież, że argument może przekroczyć granice pochodzenia, temperamentu czy lokalnego przesądu, tworząc wspólną przestrzeń dla racjonalnej debaty. Oczywiście nowoczesna teoria społeczna słusznie wypunktowała ślepoty tego projektu, niemniej krytyka Oświecenia nie musi wcale oznaczać całkowitego porzucenia narzędzi rozumu. Peterson tymczasem wykonuje ruch zgoła odmienny: gdy nowoczesność komplikuje świat, on ucieka w bezpieczne objęcia mitu, a gdy emancypacja podważa tradycję, on tę tradycję natychmiast sakralizuje. Dlatego określenie go mianem „konserwatywnego kaznodziei w przebraniu naukowca" uderza z tak diagnostyczną precyzją, bowiem jego język biologii i neurologii pełni funkcję czysto liturgiczną. Nauka zostaje tu przywołana nie po to, by ryzykować obalenie własnych tez, lecz by nadać im aurę empirycznej powagi, co można określić mianem naukowości jako kadzidła.

Nie oznacza to bynajmniej, że Peterson zawsze i w każdej kwestii się myli, gdyż takie postawienie sprawy byłoby intelektualnie leniwe i niepotrzebnie histeryczne. Bywa on niezwykle trafny, gdy mówi o osobistej odpowiedzialności, psychologicznym znaczeniu rutyny czy destrukcyjnej sile kłamstwa, która potrafi zrujnować tkankę społeczną. Właśnie w tej punktowości tkwi źródło jego niebywałej skuteczności, bowiem gdyby głosił wyłącznie nonsensy, pozostałby jedynie kolejnym internetowym ekscentrykiem. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a Peterson najwybitniejszym biologiem naszych czasów. Jego siła polega jednak na tym, że prawdy częściowe wplata w szerszą konstrukcję ideologiczną, która w ostatecznym rozrachunku pracuje przeciwko rzetelnej analizie społecznej. To najtrudniejszy rodzaj błędu, ponieważ jest on misternie zbudowany z wielu zdań, które z osobna wydają się całkowicie prawdziwe i przekonujące.

Krytyka Petersona musi być zatem znacznie bardziej precyzyjna niż kolejna porcja memicznej kpiny z homarów czy sprzątania pokoju. Nie wystarczy zauważyć, że analogia z homarami jest zabawna; trzeba pokazać, jak pozwala ona przenieść autorytet biologii na zastany porządek społeczny. Podobnie banał samopomocy staje się w jego wydaniu skuteczną blokadą dla jakiejkolwiek krytyki politycznej, sprowadzając systemowe problemy do kwestii indywidualnego nieładu. Mgła archetypów, w której tak chętnie się porusza, służy przede wszystkim ochronie przed twardymi pytaniami o własność, władzę oraz kształt współczesnych instytucji. W walce z tak gęstą mgłą nie wystarczy jedynie machać ręką w geście lekceważenia, lecz trzeba włączyć silny reflektor

krytycznej analizy. Współcześni myśliciele, którzy rzucają wyzwanie temu porządkowi, nadchodzą z wielu stron, przy czym ich argumenty wymagają od nas najwyższej uwagi.

Teologia merytokracji: dlaczego Peterson uwodzi młodych mężczyzn

Z perspektywy ekonomii politycznej, a konkretnie tradycji marksowskiej, indywidualne cierpienie pozostaje całkowicie nieczytelne, jeśli wypreparujemy je z kontekstu stosunków produkcji oraz klasowej reprodukcji. Pierre Bourdieu, mistrz socjologicznej demaskacji, pokazałby dobitnie, że to, co bierzemy za naturalną hierarchię lub osobistą zasługę, stanowi zazwyczaj pochodną kapitału kulturowego i habitusu. Z kolei Judith Butler czy Nancy Fraser przypominają, że porządek płciowy nie jest wiecznym dramatem archetypów, lecz gęstym splotem norm, pracy opiekuńczej i instytucjonalnych form władzy. Theodor Adorno oraz badacze teorii autorytaryzmu wskazaliby natomiast, jak lęk przed ambiwalencją rodzi pragnienie silnego ładu, czyniąc nas podatnymi na hierarchiczne i karzące ideologie. W XIX wieku pytano o zegarek, w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości, która ma uśmierzyć ten egzystencjalny niepokój.

Z punktu widzenia filozofii nauki każda teoria, która chroni się przed falsyfikacją poprzez ucieczkę w mit lub głębszą prawdę, niebezpiecznie dryfuje w stronę kazania o wysokim stopniu abstrakcji. W perspektywie prawnej petersonowski światopogląd budzi uzasadniony niepokój, ponieważ nowoczesne państwo konstytucyjne nie opiera się na mitologii hierarchii, lecz na godności i równości wobec prawa. Prawo nie neguje różnic, lecz je cywilizuje, wymagając jednocześnie, by każda struktura władzy posiadała solidną podstawę kompetencyjną oraz proceduralną. Gdy hierarchia zostaje przedstawiona jako zjawisko czysto naturalne, nasza wrażliwość na jej potencjalne nadużycia drastycznie maleje, co uderza w fundamenty państwa prawa. Konserwatyzm pozbawiony tej zdrowej podejrzliwości wobec władzy nieuchronnie zamienia się w estetykę posłuszeństwa, gdzie ranga zastępuje argument, a rytuał wypiera rzetelną debatę. Państwo prawa zaczyna się bowiem właśnie od systemowej nieufności wobec każdego, kto rości sobie prawo do arbitralnej władzy.

Ekonomicznie rzecz biorąc, petersonowska narracja o odpowiedzialności służy przede wszystkim moralizacji nierówności, przekształcając bezwzględny rynek w swoisty sąd ostateczny. Jeśli sukces staje się ostatecznym dowodem cnoty, a porażka świadectwem wewnętrznego chaosu, to bogaty przestaje być po prostu zamożny, stając się ucieleśnieniem dyscypliny. Biedny natomiast zostaje zredukowany do roli niedojrzałego przegranego, który nie podołał walce z chaosem, co stanowi istotę teologii merytokracji. Teologia merytokracji, czyli system przekonań moralizujący

nierówności ekonomiczne poprzez sukces jednostki, pozwala zrozumieć, dlaczego rynek zostaje przebrany za instancję metafizyczną. Jest to jedna z najtrwalszych religii nowoczesnego kapitalizmu, której dogmat głosi, że jeśli przegrałeś, to po prostu na to zasłużyłeś. Jej sakramentem stał się coaching, a piekłem brak produktywności, co sprawia, że system inkasuje zyski przez dekady, podczas gdy jednostka boryka się z poczuciem winy.

Antropologicznie patrząc, Jordan Peterson odpowiada na realną i bolesną potrzebę rytuału inicjacyjnego, której współczesna kultura nie potrafi zaspokoić w sposób konstruktywny. Wielu młodych mężczyzn doświadcza dziś dotkliwego kryzysu przejścia, ponieważ tradycyjne wzory męskości są skompromitowane, a nowe nie zyskały jeszcze społecznego ugruntowania. Rynek pracy nie gwarantuje stabilnej dorosłości, wspólnoty lokalne słabną, a platformy cyfrowe serwują jedynie niekończącą się ekspozycję cudzych, często wykreowanych sukcesów. W tę lukę wchodzi Peterson jako surowy ojciec symboliczny, głoszący, że cierpienie ma sens, a dyscyplina jest jedyną drogą do pokonania życiowego chaosu. To wyjaśnia jego magnetyzm, niemniej musimy pamiętać, że atrakcyjność diagnozy nie jest jeszcze dowodem na jej naukową czy etyczną trafność. Często bowiem lekarstwo, które przynosi natychmiastową ulgę, maskuje jedynie postępującą chorobę strukturalną, której pacjent nie chce dostrzec.

Lek może działać przeciwbólowo, a jednocześnie uzależniać pacjenta od fałszywej diagnozy, co wydaje się kluczowym problemem w przypadku tej konkretnej propozycji intelektualnej. Największa słabość Petersona polega na tym, że rzadko pyta, czyj porządek jest zaprowadzany i jaką cenę przychodzi za niego zapłacić słabszym uczestnikom gry. Porządek bywa warunkiem wolności, lecz równie często stanowi jedynie eufemizm dla dobrze zorganizowanej dominacji, która nie znosi sprzeciwu ani krytyki. Tradycja może być żywą pamięcią wspólnoty, ale bywa też archiwum przemocy z dopiskiem, że tak było zawsze, co ma uciąć wszelką dyskusję o zmianie. Odpowiedzialność, choć jest cnotą, w tym wydaniu staje się prywatyzacją winy, zdejmując ciężar z instytucji i przenosząc go na barki jednostki. Mit może być językiem sensu, ale może też być narkozą rozumu, która pozwala ignorować realne mechanizmy wykluczenia społecznego.

To, że coś istnieje lub działa, nie oznacza wcale, że jest sprawiedliwe, wszak pleśń również posiada swoją długą i bogatą tradycję. Badacze tacy jak Fromm i Fluss widzą w Petersonie producenta nowego irracjonalizmu prawicy, który selektywnie absorbuje naukę, by wspierać z góry założone tezy. Przyjmuje on statystykę, gdy ta uwypukla różnice, oraz biologię, gdy pozwala ona uzasadnić hierarchię, odrzucając jednocześnie wiedzę o strukturalnych przyczynach ludzkiego cierpienia. W ten sposób nauka zostaje pocięta na ideologiczne części zamienne, a laboratorium zamienia się w warsztat mitologiczny służący do produkcji wygodnych opowieści. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a my utknęlibyśmy w świecie,

gdzie skuteczność manipulacji zastępuje rzetelność dowodową. Taka selektywna absorpcja wiedzy pozwala na budowanie autorytetu tam, gdzie w rzeczywistości mamy do czynienia jedynie z wyrafinowaną formą propagandy.

Ostatecznie Peterson staje się groźny nie wtedy, gdy zachęca do sprzątania pokoju, lecz gdy uczy, że świat społeczny jest mniej realny niż indywidualna niedoskonałość. Myląc odpowiedzialność z posłuszeństwem, a biologię z normą, występuje on w roli manipulatora, czyli producenta zaufania skierowanego przeciwko krytycznemu rozumowi. Sprzedaje on zagubionym ludziom kompas, ale wcześniej przekonuje ich, że mapa społeczna jest jedynie złudzeniem, którego nie warto brać pod uwagę. Uczy ich stać prosto, lecz rzadziej zachęca do sprawdzenia, kto i w jakim celu zbudował podłogę, na której przyszło im balansować. Człowiek pozbawiony języka struktury może bardzo dzielnie maszerować w miejscu, nazywając to przeznaczeniem, podczas gdy system cicho inkasuje owoce jego bezproduktywnego trudu. Właśnie dlatego naukowa analiza musi bezlitośnie rozdzielać funkcję od legitymizacji, nie pozwalając, by estetyka siły zastąpiła etykę sprawiedliwości.

Elon Musk: Kapitalizm oczarowania i metafizyka rakiety

Elon Musk stanowi dla Frima i Flussa figurę niemalże totemiczną, ponieważ jego specyficzne oszustwo zaufania, czyli mechanizm sprzedaży gotowych światopoglądów osobom zagubionym w chaosie współczesności, nie przychodzi do nas jako kazanie o porządku. Podczas gdy Jordan Peterson operuje językiem surowego ojca i archetypowej dyscypliny, Musk posługuje się dialektem rakiety, start-upu, memu oraz giełdowego oczarowania, które hipnotyzuje rynki. Jest on klasycznym confidence manem epoki wysokich technologii, przy czym jego rola nie sprowadza się do trywialnego kłamstwa w kwestiach technicznych. Taka diagnoza byłaby zbyt płaska, nazbyt policyjna i ograniczona do księgowej buchalterii, która nie dostrzega szerszego horyzontu zdarzeń. Musk operuje na znacznie głębszym poziomie, sprzedając nam sugestywne wyobrażenie, że kapitał skupiony w rękach właściwego wizjonera przestaje być zwykłym pieniądzem, a staje się czystym przeznaczeniem. W tej specyficznej optyce miliarder nie jest już tylko przedsiębiorcą, lecz wyrasta na postać quasi-religijną w ramach współczesnego kapitalizmu platformowego, czyli systemu, w którym uwaga i emocje użytkowników są towarem przetwarzanym przez algorytmy.

Wszystkie jego firmy, ryzykowne projekty oraz buńczuczne deklaracje układają się w spójny mit o człowieku, który nie tyle uczestniczy w historii, ile bezczelnie ją redaguje. Samochody elektryczne, rakiety wielokrotnego użytku, implanty mózgowe czy kolonizacja Marsa tworzą razem spektakl totalny, w którym granica między nauką a fantastyką ulega całkowitemu zatarciu. Musk występuje w tym przedstawieniu jednocześnie jako główny bohater, reżyser, producent, narrator, a nawet

rzutki sprzedawca biletów na własny seans. Publiczność zgromadzona przed ekranami smartfonów nie obserwuje przecież wyników finansowych konkretnej firmy, lecz śledzi zapierającą dech w piersiach epopeję o zbawieniu ludzkości. A epopeja, jak uczy nas historia literatury, rzadko miewa czas, by pytać zmęczonego pracownika magazynu o jego nieopłacone nadgodziny czy warunki socjalne. Skandal krzyczy przez tydzień, podczas gdy system inkasuje zyski przez całe dekady, karmiąc się naszą uwagą i nieustannym oczekiwaniem na kolejny przełom.

Frim i Fluss demistyfikują tę potężną personę jako faksymile Tony'ego Starka, czyli figurę genialnego wynalazcy, którą najpierw stworzyła kultura popularna, a następnie sprzedała samej sobie jako rzeczywistość. Jest to mechanizm niezwykle skuteczny, gdyż najpierw Hollywood produkuje zbiorową fantazję o technologicznym herosie, a potem rynek znajduje miliardera gotowego nosić tę zbroję. Następnie media głównego nurtu opisują ową zbroję tak długo i namiętnie, aż w końcu zaczynają mylić jej metaliczny połysk z żywym ciałem właściciela. Musk staje się zatem nie tyle realnym wynalazcą, ile wielkim ekranem projekcyjnym dla społeczeństwa, które przestało wierzyć w skostniałe instytucje, lecz wciąż desperacko pragnie wiary w samotnego geniusza. Ta wiara pełni kluczową funkcję polityczną, ponieważ rzekomy geniusz zwalnia nas z trudnej konieczności demokratycznej deliberacji nad wspólną przyszłością.

Jeśli uznamy kogoś za człowieka przeznaczenia, wszelkie pytania o kontrolę społeczną, prawo pracy czy subsydia publiczne zaczynają wydawać się małostkowe, spóźnione, a wręcz filisterskie. Wizjoner ma rzekomo widzieć znacznie dalej niż zwykli śmiertelnicy, więc cała reszta społeczeństwa powinna mu po prostu nie przeszkadzać w realizacji wielkiego planu. W tym precyzyjnym punkcie nowoczesny kapitalizm spotyka się z archaiczną monarchią symboliczną, gdzie akcjonariusze i fani tworzą rozentuzjazmowany dwór. Dwór ten nigdy nie pyta króla, czy ambitny plan kolonizacji Czerwonej Planety uwzględnia jakiekolwiek układy zbiorowe pracy lub elementarną sprawiedliwość społeczną. Zamiast tego dwór rytualnie klaszcze, ponieważ klaskanie jest zazwyczaj znacznie tańsze i mniej wymagające niż samodzielne, krytyczne myślenie o skutkach technologii. To nie kokaina dla elit, lecz metafizyczny energetyk dla klasy wyczerpanej brakiem realnych alternatyw politycznych.

Centralną kategorią w arsenale Muska pozostaje hiperbola, lecz nie jest to zwykła przesada, tylko mechanizm określany mianem truthful hyperbole, czyli prawdziwej hiperboli. To pojęcie, oznaczające kłamstwo wypowiedziane tak widowiskowo, że publiczność chce widzieć w nim wyższą formę prawdy, niesie w sobie genialną dwuznaczność. Musk rozumie ten mechanizm instynktownie, wiedząc, że w ekonomii uwagi obietnica wcale nie musi być natychmiast spełniona, aby zaczęła działać ekonomicznie. Wystarczy, że przyciągnie ona ogromny kapitał, zbuduje porywającą narrację i wytworzy wokół projektu aurę absolutnej nieuchronności dziejowej. Wtedy

opowieść zaczyna performować rzeczywistość nie dlatego, że jest obiektywnie prawdziwa, lecz dlatego, że wystarczająco wielu ludzi zainwestowało w nią swoje pieniądze oraz nadzieje. Tak właśnie rodzi się kapitalizm oczarowania, w którym sam produkt techniczny jest istotny, lecz nigdy nie wystarcza bez towarzyszącej mu gęstej metafizyki.

Technokratyczny populizm: jak Musk zamienia państwo w aplikację

Samochód w uniwersum Elona Muska przestaje być zwykłym przedmiotem użytkowym, stając się raczej biletem wstępu do świetlanej przyszłości, którą musimy kupić od konkretnego wizjonera. Rakieta nie jest jedynie maszyną transportową, lecz ostatecznym dowodem na sens istnienia gatunku ludzkiego, o ile tylko podążamy za właściwym, charyzmatycznym przewodnikiem. Nawet platforma komunikacyjna, będąca w istocie cyfrową infrastrukturą, zostaje przemianowana na pole bitwy o wolność słowa, rozumianą specyficznie jako prawo właściciela do przemeblowania świata według własnej neurochemii. Firma w tym ujęciu przestaje być strukturą gospodarczą, a staje się misją cywilizacyjną, co niesie za sobą konkretne konsekwencje dla debaty publicznej. Gdy bowiem biznes zmienia się w religijną niemal krucjatę, każdy merytoryczny krytyk automatycznie zaczyna wyglądać jak niebezpieczny heretyk, którego należy uciszyć w imię wyższego dobra.

Musk chętnie kreuje się na surowego materialistę, człowieka twardej inżynierii i nieubłaganych praw fizyki, które w jego prywatnej mitologii stanowią jedyne prawdziwe ograniczenie. Często powtarza, że fizyka jest prawem, podczas gdy cała reszta to jedynie sugestie, niemniej badacze tacy jak Frim i Fluss dostrzegają w tym głęboki paradoks. Ta retoryka naukowego rygoru służy bowiem do maskowania skrajnego woluntaryzmu, czyli przekonania o prymacie woli jednostki nad wszelkimi strukturami zewnętrznymi. Prawa natury są przywoływane z namaszczeniem wtedy, gdy mają wzmocnić wizerunek bezlitosnego racjonalisty, lecz gdy na horyzoncie pojawiają się bariery ekonomiczne lub prawne, nagle tracą swój absolutny charakter. Wówczas regulacje demokratyczne czy prawa pracownicze zostają zdegradowane do rangi irytujących przeszkód administracyjnych, które silna ręka sprawnego menedżera może i powinna po prostu ominąć.

Natura bywa surowa, gdy trzeba dyscyplinować innych, ale rzeczywistość staje się cudownie plastyczna, gdy przychodzi do usprawiedliwiania własnych, często nierealnych obietnic. Na tym właśnie polega specyficzny antymaterializm Muska, czyli praktyka polegająca na odrzuceniu materialnych i społecznych relacji umożliwiających istnienie technologii na rzecz kultu jednostki. Rakieta nie opuszcza przecież platformy startowej dzięki samotnemu geniuszowi, lecz jest efektem gigantycznej pracy zbiorowej, państwowych kontraktów oraz dekad dziedziczenia wiedzy naukowej.

W tym procesie uczestniczą tysiące ludzi, łańcuchy dostaw, podatnicy oraz skomplikowana infrastruktura, przy czym ich nazwiska nigdy nie trafią do oficjalnego mitu założycielskiego. Samochód elektryczny nie jest emanacją woli jednego człowieka, lecz wynikiem polityk publicznych, ogromnych subsydiów oraz globalnego, często brutalnego wydobycia surowców niezbędnych do produkcji baterii.

Współczesna hagiografia Muska systematycznie wycina tę zbiorowość z kadru, pozostawiając jedynie twarz lidera, ponieważ kapitalizm kocha twarze znacznie bardziej niż skomplikowane struktury. Twarz łatwiej sprzedać, łatwiej też wokół niej budować emocjonalną więź, co jednak prowadzi do zasadniczej i niezwykle trwałej mistyfikacji ekonomicznej. Choć miliarder prezentuje się jako uosobienie wolnego rynku, jego imperium pozostaje głęboko splecione z aparatem państwowym poprzez system ulg, regulacji i lukratywnych kontraktów. Nie znajdziemy tu czystej, libertariańskiej baśni o samotnym herosie walczącym z biurokratycznym smokiem, lecz raczej dialektykę publicznego ryzyka i prywatnej chwały. To trochę tak, jakby ktoś pewnym krokiem wszedł na scenę po schodach zbudowanych przez innych, a następnie wygłosił płomienną mowę o tym, że grawitację pokonał wyłącznie siłą własnej woli.

Musk przeszedł ewolucję od przedsiębiorcy-celebryty do aktywnego operatora państwowego, co najlepiej ilustruje jego zaangażowanie w projekt DOGE w 2025 roku. Choć Reuters informował o jego odejściu z oficjalnej roli po upływie mandatu, działania na rzecz restrukturyzacji administracji miały być kontynuowane z niemniejszą intensywnością. Ten epizod pozwala zrozumieć Muska jako nośnika technokratycznego populizmu, czyli praktyki polegającej na redukowaniu złożonych problemów państwa do kategorii technicznych przy jednoczesnym atakowaniu instytucji. W tej optyce urzędnicy stają się zbędnym kosztem, procedury niepotrzebnym tarciem, a sama demokracja jedynie irytującym opóźnieniem systemu, które należy zoptymalizować. W XIX wieku pytano o zegarek, w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości, zwłaszcza gdy ta służy do demontażu wspólnoty.

Raporty wskazywały, że działania pod szyldem DOGE doprowadziły do redukcji około 260 tysięcy etatów federalnych, co stanowiło niemal dwanaście procent całej cywilnej siły roboczej. Metody były brutalne: groźby zwolnień, wymuszone wykupy i wcześniejsze odejścia, przy czym dane Departamentu Skarbu ujawniły później zaskakująco niskie oszczędności finansowe. Jest to niemal laboratoryjna ilustracja strategii "truthful hyperbole", gdzie najpierw zapowiada się wielką operację uzdrawiania państwa, by oczarować odbiorców samą skalą gestu. Rzeczywistość okazuje się znacznie bardziej złożona, oszczędności przyziemne, a koszty społeczne bolesne i konkretne, lecz dla narracji nie ma to już większego znaczenia. Odbiorca został już bowiem zainfekowany wizją

radykalnego cięcia, która w jego oczach legitymizuje każdą formę arbitralnej władzy nad strukturą społeczną.

W tym punkcie technopolityka Muska staje się niebezpieczna, ponieważ nowoczesne państwo nie jest aplikacją, którą można dowolnie refaktoryzować bez oglądania się na legitymację proceduralną. Administracja publiczna to nie tylko koszt, lecz przede wszystkim instytucjonalna pamięć, gwarancja ciągłości usług oraz aparat służący ochronie dobra wspólnego przed partykularnymi interesami. Można ją oczywiście reformować i upraszczać, wszak biurokracja bywa powolna i skostniała, niemniej zastępowanie jej spektaklem stanowczości uderza w same fundamenty państwa prawa. Jeśli reforma przybiera formę performansu, w którym liczy się wyłącznie estetyka cięcia, wówczas procedury zaczynają być traktowane jak zbędne dekoracje na drodze do celu. Szybkość nie jest synonimem racjonalności, a arbitralność, choć bywa imponująco sprawna, rzadko kiedy służy sprawiedliwości czy długofalowemu bezpieczeństwu obywateli.

Gilotyna również była urządzeniem niezwykle sprawnym i zoptymalizowanym pod kątem szybkości działania, co jednak nie czyniło z niej narzędzia budowania trwałego ładu społecznego. Musk w swojej roli politycznej odsłania zasadę obecną wcześniej w jego biznesowym micie: świat jest jedynie materiałem do optymalizacji przez jednostkę przekonaną o swojej wyjątkowości. Ta mentalność, określana przez Frima i Flussa jako metafizyka dominacji, zakłada, że wybitna jednostka ma prawo działać ponad zwykłymi ograniczeniami, które krępują resztę śmiertelników. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a Muskowska wizja państwa-aplikacji byłaby szczytem politycznej mądrości. Ostatecznie jednak pozostajemy z pytaniem, czy chcemy żyć w społeczeństwie opartym na prawie, czy w systemie, który jest moderowany według kaprysu jednego administratora.

Musk i inżynieria sensu: jak miliarderzy hakują rzeczywistość

Władza w wydaniu muskistowskim nie traci czasu na żmudne, demokratyczne uzasadnienia, gdyż wystarczy jej deklaracja czystej, technokratycznej skuteczności. W XIX wieku pytano o zegarek, natomiast w XXI wieku pyta się o twoją interpretację rzeczywistości, którą miliarderzy starają się aktywnie projektować. Jeśli jakąś strukturę można przeciąć, należy ją bezlitośnie przeciąć, a jeśli pracownika można zwolnić, to arkusz kalkulacyjny staje się jedynym sędzią jego przydatności. Mamy tu do czynienia z racjonalnością narzędziową, która całkowicie oderwała się od rozumu publicznego i wspólnotowych wartości. Kalkulator przejmuje rolę konstytucji, a jego operator ze zdziwieniem konstatuje, że żywe, skomplikowane społeczeństwo nie chce zmieścić się w ciasnej

komórce Excela. To wizja świata, w którym efektywność jest bogiem, a empatia jedynie błędem w kodzie, który należy jak najszybciej naprawić lub usunąć.

Muskistowski longtermizm, czyli ideologia przedkładająca abstrakcyjną przyszłość ludzkości nad bieżące problemy społeczne i etyczne, nadaje temu technokratycznemu podejściu wymiar niemal religijny. Sama troska o przyszłe pokolenia jest w dobie katastrofy klimatycznej i ryzyk biologicznych postawą nie tylko uprawnioną, lecz wręcz konieczną dla przetrwania gatunku. Problem pojawia się jednak w momencie, gdy ta odległa, świetlana przyszłość staje się moralnym alibi dla cynicznego lekceważenia cierpienia tu i teraz. Jeśli biliony potencjalnych istnień mają większą wagę niż konkretny człowiek stojący przed nami, to dzisiejszy ból staje się jedynie pomijalnym kosztem przejściowym. W takim układzie empatia zostaje poddana outsourcingowi do roku 3025, co pozwala liderom technologicznym na całkowitą obojętność wobec współczesnych kryzysów.

Frim i Fluss dostrzegają w tym zjawisku specyficzną formę toksycznej pozytywności w wydaniu kosmicznym, która nie jest radosnym zapewnieniem, że wszystko się ułoży. To raczej surowy imperatyw głoszący, że skoro musi być dobrze w skali eonów, to jednostka nie powinna przeszkadzać w realizacji tego wielkiego planu. Optymizm Muska bywa często optymizmem pozbawionym cierpliwości do tych, którzy cierpią w cieniu jego monumentalnych projektów technicznych. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a tymczasem muskistowska wizja przyszłości zdradza uderzający deficyt wyobraźni społecznej. Ludzkość ma wprawdzie stać się gatunkiem multiplanetarnym, ale konkretni pracownicy w jego fabrykach pozostają planetarnie wymiennymi elementami wielkiej maszyny. Mamy zasiedlić Marsa, ale nie potrafimy godnie zorganizować pracy na Ziemi, ponieważ kosmos jest zbyt wielki, a układ zbiorowy zbyt mały, by go zauważyć.

Istotnym elementem tego specyficznego światopoglądu jest hipoteza symulacji, która jako eksperyment myślowy powraca w filozofii od czasów Kartezjusza aż po współczesną kognitywistykę. Jednak w kulturze budowanej przez Muska teoria ta działa rzadziej jako rygorystyczny problem epistemologiczny, a częściej jako popkulturowe rozgrzeszenie dla działań pozbawionych skrupułów. Jeśli rzeczywistość jest jedynie zaawansowaną grą, to ostatecznym zwycięzcą zostaje ten, kto najszybciej poznał kody i potrafi je bezkarnie wykorzystywać. W świecie będącym Matrixem moralność staje się zbędnym ograniczeniem dla niewtajemniczonych, a cierpienie innych traci swój ciężar ontologiczny, stając się jedynie usterką w oprogramowaniu. To niezwykle wygodna perspektywa dla człowieka, który lubi myśleć o sobie jako o graczu najwyższego poziomu, kontrolującym parametry cudzego istnienia.

W tym punkcie Musk niebezpiecznie zbliża się do Andrew Tate'a, choć czyni to w znacznie bardziej eleganckiej, futurystycznej i intelektualnie wyrafinowanej scenografii. U obu tych postaci pojawia się identyczna idea rzeczywistości jako systemu, który należy zhakować, oraz męskość kompensacyjna, czyli model tożsamości oparty na dominacji oferowany jako lekarstwo na poczucie marginalizacji. Różnica polega głównie na estetyce: Tate mówi językiem ulicznego drapieżnika obiecującego luksusowe auta, podczas gdy Musk operuje żargonem start-upowego demiurga oferującego Marsa. Tate sprzedaje prymitywne kursy dominacji, Musk natomiast oferuje udział w wielkiej przygodzie gatunku, lecz w obu przypadkach realność społeczna zostaje zredukowana do planszy dla zwycięzców. Kto przegrywa lub protestuje, ten po prostu nie zrozumiał kodu i psuje zabawę tym, którzy rzekomo widzą więcej niż zwykli śmiertelnicy.

Walka z tak zwanym wokeizmem nie jest w tym systemie przypadkowym dodatkiem, lecz kluczowym elementem politycznej konsolidacji i budowania lojalności fanowskiej bazy. Pojęcie woke działa tu jako puste znaczące, do którego można wrzucić wszystko: od związków zawodowych i regulacji platform, aż po krytykę rasizmu czy prawa osób transpłciowych. Jest to klasyczny przykład toy politics, czyli redukcji złożonych problemów politycznych i społecznych do prostych kategorii psychologicznych i temperamentów. W ten sposób realne konflikty materialne zostają sprytnie opakowane w wojnę kulturową, która skutecznie odwraca uwagę od kwestii władzy i kapitału. Zamiast pytać o warunki pracy czy monopolizację infrastruktury, publiczność zostaje zmuszona do rozważania, czy cywilizacja nie została przypadkiem porwana przez zaimki.

Współczesny algorytmiczny kapitalizm, czyli system ekonomiczny, w którym uwaga i emocje użytkowników są towarem przetwarzanym przez algorytmy platform, sprzyja takiej dywersji w sposób niemal idealny. Musk nie jest jedynie użytkownikiem tych platform, lecz ich operatorem, symbolem i głównym beneficjentem mechanizmów monetyzacji afektu, czyli przekształcania silnych emocji w zysk. Przedsiębiorca w tej nowej erze nie musi już tylko produkować dóbr, lecz musi nieustannie emitować siebie w formie memów, prowokacji i politycznych gestów. Każdy wywołany przez niego konflikt jest zarazem komunikatem giełdowym, sygnałem plemiennym i rytuałem lojalności, który cementuje wspólnotę jego wyznawców. Nie trzeba posiadać spójnej doktryny politycznej, jeśli dysponuje się ciągłym strumieniem emocji, który polaryzuje i zwiększa widzialność w cyfrowym szumie.

Musk jest absolutnym mistrzem konwersji uwagi na władzę narracyjną, która pozwala mu włączać nawet ewidentne porażki w ramy swojego heroicznego mitu. Opóźnienie w produkcji staje się dowodem na skalę ambicji, krytyka mediów potwierdza istnienie spisku, a chaos w zarządzaniu jest interpretowany jako dowód odwagi. W takim systemie wizerunek staje się antykruchy, ponieważ każda próba jego naruszenia dostarcza jedynie nowego materiału do niekończącego się spektaklu.

Dlatego właśnie mówi się o nim jako o oszuście zaufania, czyli mechanizmie sprzedaży gotowych światopoglądów osobom zagubionym w chaosie współczesności. Oszust zaufania nie potrzebuje spełniać każdej obietnicy, dopóki jego odbiorcy wierzą, że porażki są jedynie koniecznymi etapami na drodze do wyższej prawdy.

To jest struktura głęboko religijna, w której proroctwo może się nie ziścić w terminie, ale wierni uznają, że to oni źle zrozumieli boski harmonogram. Jeśli wycena firmy odrywa się od fundamentów ekonomicznych, wygląda to dla nich jak dowód, że stary świat po prostu nie rozumie nadchodzącej epoki. Najbardziej niepokojące jest jednak to, że ta filozofia skali skutecznie eroduje granice odpowiedzialności prawnej i instytucjonalnej, rozmywając jednostkowe szkody w cieniu wielkiej misji. Platforma komunikacyjna o globalnym zasięgu pozostaje własnością prywatną, a sieć satelitarna o znaczeniu strategicznym działa pod kontrolą jednej korporacji, unikając demokratycznego nadzoru. Odpowiedzialność rozpływa się między statusem miliardera, celebryty, właściciela infrastruktury i memiarza, tworząc przestrzeń, w której tradycyjne mechanizmy kontroli stają się całkowicie bezradne. Jeśli rzeczywistość nie zgadza się z tą wizją, Musk po prostu daje jej brutalny update, nie pytając nikogo o zgodę.

Musk: Jak kapitał narracyjny przejmuje naszą wspólną przyszłość

To nie jest dzieło przypadku, lecz precyzyjnie skrojona, współczesna forma władzy hybrydowej. Klasyczny porządek prawny odczuwa instynktowną potrzebę kategoryzacji, podczas gdy muskowska rzeczywistość programowo te kategorie zaciera. Stajemy przed pytaniem, czy mamy do czynienia z wolnym rynkiem, czystą polityką, krytyczną infrastrukturą, ekspresją idei, administracją czy może strategicznym zasobem państwa. Odpowiedź, choć brzmi jak unik, jest brutalnie szczera: tak, to wszystko naraz. Właśnie w tym punkcie współczesne demokracje napotykają swój najbardziej paraliżujący problem poznawczy. Instytucje zaprojektowane dla epoki dymiących kominów i taśm montażowych bezskutecznie próbują okiełznać aktorów, którzy są jednocześnie korporacjami, mediami i ruchami kulturowymi.

Elon Musk przestał być jedynie osobą fizyczną, stając się ostatecznym testem odporności państwa prawa na kapitalizm platformowo-kosmiczny. W tym nowym układzie sił jego publiczna rola w sporach o regulacje pracy nabiera charakteru symptomatycznego. Agencja Reuters szczegółowo opisywała batalię wokół kompetencji NLRB, czyli amerykańskiej Krajowej Rady ds. Stosunków Pracy, wywołaną jednym wpisem miliardera. Sądowe rozstrzygnięcie, uznające nakaz usunięcia wpisu za zbyt daleko idący, jest tu jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Niezależnie od prawnych

niuansów, spór ten obnaża fundamentalne napięcie między wolnością wypowiedzi potężnego pracodawcy a prawem pracowników do samoorganizacji. W klasycznej liberalnej fantazji każda wypowiedź jest abstrakcyjnie wolna i zawieszona w próżni. Jednak w realnym stosunku pracy głos właściciela działa jak potężny sygnał ekonomicznej groźby, nawet jeśli formalnie pozostaje tylko opinią.

Prawo musi wreszcie zadać pytanie, którego libertariańska retoryka unika z niemal religijną gorliwością: kto mówi, z jakiej pozycji i jakie realne konsekwencje wywołuje ta mowa. To pytanie rezonuje w całej muskowskiej sferze wpływów, gdzie granica między szumem a interwencją uległa całkowitemu zatarciu. Gdy zwykły użytkownik publikuje prowokację, generuje jedynie cyfrowy szum, który szybko ginie w algorytmicznym gąszczu. Gdy robi to właściciel platformy i aktor polityczny, dokonuje on brutalnej interwencji w samą architekturę widzialności. Liberalizm, który uparcie udaje, że wszystkie głosy w tej przestrzeni ważą tyle samo, staje się tragicznie ślepy na mechanizmy władzy. A jak wiemy, ślepota na władzę jest zawsze najwspanialszym prezentem, jaki można podarować silniejszym graczom.

Muskowska persona genialnego innowatora wymaga również bezwzględnej konfrontacji z pojęciem pracy zbiorowej, która rzadko bywa tematem nagłówków. Współczesna innowacja niemal nigdy nie jest dziełem samotnego Prometeusza, lecz owocem pracy całych ekosystemów badawczych i akademickich. Mariana Mazzucato od lat dowodzi, że państwo przedsiębiorcze, czyli model aktywnego finansowania ryzykownych badań przez sektor publiczny, odgrywa tu rolę fundamentalną. To właśnie publiczne pieniądze budują infrastrukturę innowacji, którą później prywatny kapitał tak chętnie zawłaszcza na poziomie narracyjnym. W XIX wieku pytano o zegarek, dziś pyta się o twoją interpretację rzeczywistości i to, komu przypiszesz zasługi za postęp.

David Graeber zwracał uwagę na mitologię pracy w kapitalizmie, gdzie spektakularne formy wartości symbolicznej skutecznie zasłaniają realne stosunki produkcji. Z kolei Shoshana Zuboff analizowała kapitalizm inwigilacji, w którym nasze dane i uwaga stają się surowcem wydobywanym przez technologicznych gigantów. Do tego chóru dołącza Evgeny Morozov, krytykujący solutionism, czyli naiwne przekonanie, że złożone problemy społeczne można rozwiązać za pomocą technicznych interfejsów. Wszystkie te tradycje myślowe spotykają się w jednym, niezwykle istotnym punkcie: technologia nigdy nie jest neutralnym objawieniem jednostkowego geniuszu. Jest ona specyficzną, społeczną formą władzy, którą Musk w sposób bezprecedensowy personalizuje i monetyzuje.

Gdy innowacja zostaje opowiedziana jako emanacja jednej wybitnej jednostki, z pola widzenia natychmiast znika idea demokracji technologicznej. Przestajemy pytać, jakie technologie są nam rzeczywiście potrzebne, komu one służą i kto ponosi ukryte koszty ich wdrożenia. Zamiast debaty o kontroli skutków ubocznych, otrzymujemy spektakl, w którym jedynym istotnym pytaniem jest to,

czy wizjoner dowiezie obietnicę. Społeczeństwo zostaje w ten sposób zredukowane do roli biernych kibiców, obserwujących politykę technologiczną niczym sport ekstremalny dla akcjonariuszy. W tym procesie kryje się głęboki wymiar antropologiczny, który dotyka najczulszych strun naszej zsekularyzowanej kultury rynkowej.

Musk z wielką wprawą zaspokaja głód transcendencji w świecie, w którym tradycyjne systemy wartości uległy znacznemu osłabieniu. Tam, gdzie religia traci zdolność wspólnego opowiadania sensu, technologia wchodzi z butami jako nowa, świecka eschatologia. Mars staje się niebem dla inżynierów, sztuczna inteligencja pełni rolę apokalipsy i zbawienia, a implant mózgowy obiecuje ostateczne przekroczenie ograniczeń ciała. Przedsiębiorca występuje tu w roli proroka, który zapewnia nas, że historia ma jeszcze swój dalszy, fascynujący ciąg. To narracja znacznie potężniejsza niż zwykły raport kwartalny, ponieważ raporty nie mają w zwyczaju śpiewać psalmów o przyszłości gatunku.

Należy jednak zauważyć, że ta oferowana nam transcendencja jest pod względem klasowym niezwykle selektywna i ekskluzywna. Kosmiczne zbawienie, o którym marzą elity, wymaga utrzymania bardzo ziemskich i brutalnych hierarchii na dole drabiny. Ktoś musi te rakiety projektować, ktoś inny montować, a jeszcze inny wydobywać surowce w nieludzkich warunkach. Muskowski futuryzm, mimo swojej nowoczesnej fasady, opiera się na bardzo starej, niemal feudalnej intuicji o wielkich ludziach i ich misjach. Różnica polega jedynie na tym, że dawny feudał obiecywał ochronę ziemi, a nowy obiecuje ucieczkę z planety. To nie kokaina dla elit, lecz metafizyczny energetyk dla klasy wyczerpanej brakiem alternatyw.

Badacze tacy jak Frim i Fluss trafnie wiążą postać Muska z Jordanem Petersonem poprzez kategorię wiary w wiarę. Peterson wymaga od swoich wyznawców wiary w mityczny porządek, podczas gdy Musk żąda wiary w przyszłość jako efekt natchnienia kapitału. Każdy z nich wysyła ten sam komunikat: rzeczywistość ustąpi pod naporem woli, jeśli tylko wystarczająco mocno uwierzysz właściwemu człowiekowi. Jest to w istocie magiczne myślenie, uprawiane w trzech różnych dialektach przez profesora, miliardera oraz wpływowego influencera. Wszyscy oni uczestniczą w tej samej ceremonii odczarowywania instytucji tylko po to, by na ich gruzach skutecznie zaczarować postać lidera.

Dla zachowania uczciwości eseju należy jednak zasygnalizować wątpliwość, która nie pozwala na proste skreślenie dokonań miliardera. Musk realnie uczestniczył w projektach technologicznych o ogromnym znaczeniu, które trwale zmieniły krajobraz współczesnego świata. SpaceX zrewolucjonizował rynek lotów kosmicznych, Tesla wymusiła transformację sektora motoryzacyjnego, a Starlink stał się kluczową infrastrukturą w sytuacjach kryzysowych. Redukowanie całej jego działalności wyłącznie do sprytnego PR-u byłoby intelektualnym fałszem i

pójściem na łatwiznę. Prawdziwy produkt może być przecież częścią fałszywej metafizyki, a rakieta może lecieć, nawet jeśli mit ją otaczający kłamie.

Krytyka Muska nie powinna być zatem odruchem antytechnologicznym ani luddystycznym buntem przeciwko samej innowacji jako takiej. Chodzi raczej o demokratyczny spór o to, kto kontroluje te potężne narzędzia i jakie wartości są wpisane w ich architekturę. Technologia bez polityki po prostu nie istnieje, jest jedynie polityką, która bardzo sprawnie udaje neutralne rozwiązanie techniczne. Gdy przedsiębiorca twierdzi, że nie zajmuje się polityką, lecz przyszłością, warto sprawdzić, czy właśnie nie przejmuje definicji tej przyszłości. Musk jest symptomem późnego kapitalizmu, w którym nadzieja została sprywatyzowana i zamknięta w formie ekskluzywnej marki.

Dawniej wielkie projekty przyszłości, takie jak edukacja czy prawa pracownicze, miały charakter publiczny i powszechny. Dziś przyszłość coraz częściej pojawia się jako prywatna własność z logo, aplikacją i skomplikowanym regulaminem użytkowania. Użytkownik może zaakceptować te warunki albo zostać na starej, skazanej na zagładę planecie bez szans na ratunek. Musk nie sprzedaje nam kosmosu, lecz ziemską zgodę na nierówność, tyle że podaną w bardzo atrakcyjnym, kosmicznym opakowaniu. Odbiorca, oczarowany skalą wizji, przestaje zadawać niewygodne pytania o proporcje władzy i realne koszty tego przedsięwzięcia.

Każda nowoczesna teoria społeczna powinna pytać nie tylko o to, dokąd lecimy, ale kto siedzi w kabinie pilotów. Musk jako confidence man, czyli oszust zaufania budujący wpływ na sprzedaży gotowych światopoglądów, nie musi kraść nam zegarka. On robi coś znacznie bardziej niebezpiecznego: przekonuje całe społeczeństwo, że sam czas i jego bieg należą wyłącznie do niego. Zegarek można odzyskać, ale wyobraźnię polityczną, która została przechwycona przez kapitał narracyjny, odzyskuje się znacznie trudniej. Jego siła nie płynie tylko z majątku, lecz ze zdolności zamiany obietnicy w realną, niemal absolutną władzę.

Konkluzja tego wywodu jest jasna: Musk to genialne studium przypadku przechwycenia przyszłości przez mechanizmy kapitalizmu narracyjnego. Peterson sakralizuje hierarchię za pomocą mitu, natomiast Musk sakralizuje kapitał, używając do tego celu retoryki postępu. Jeden mówi nam, że porządek jest starszy od nas, drugi twierdzi, że przyszłość jest od nas większa. W obu przypadkach jednostka ma po prostu zaufać przewodnikowi i przestać zadawać kłopotliwe pytania materialne. A to właśnie pytań materialnych tacy liderzy boją się najbardziej, ponieważ to one mają moc rozbijania każdego narzuconego czaru.

Kiedy zaczynamy pytać o to, kto pracuje, kto finansuje i kto realnie ryzykuje, cała misterna mitologia zaczyna pękać. Pytania o to, kto cierpi, a kto zyskuje na tych wizjach, działają na demony hiperboli niczym woda święcona. Nie są one może tak efektowne jak start rakiety i z pewnością nie

nadają się na wiralowe posty. Bez nich jednak każde społeczeństwo ryzykuje pobudkę w świecie, w którym przyszłość została sprywatyzowana przez człowieka mylącego pewność siebie z prawem historii. W tym kontekście Andrew Tate pojawia się jako figura najmniej subtelna, lecz przez to najbardziej diagnostyczna.

Tate nie potrzebuje profesorskiej mgły Petersona ani technologicznego blasku Muska, by głosić swoją doktrynę dominacji. On bierze to, co u tamtych jest jeszcze zawoalowane, i wyciąga na wierzch w postaci nagiej, brutalnej woli mocy. Jego przekaz jest prymitywny: świat to dżungla, w której drapieżniki pożerają ofiary, a empatia jest jedynie oznaką słabości. Tate nie wyprowadza z Matrixa, tylko sprzedaje płatny dostęp do piwnicy Matrixa, mamiąc zagubionych mężczyzn wizją siły. Jego obecność w tej triadzie jest obscenicznym komentarzem do całego systemu, w którym agresja staje się rentownym modelem biznesowym.

Tam, gdzie elegancki kapitalizm mówi o konkurencyjności, Tate bez ogródek mówi o polowaniu na słabszych. Jego sukces opiera się na monetyzacji afektu, czyli przekształcaniu gniewu i lęku w realny zysk za pomocą algorytmów. To właśnie męskość kompensacyjna, oferowana jako lekarstwo na poczucie marginalizacji, stała się jego głównym towarem eksportowym. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a Tate etykiem nowego wspaniałego świata. On nie tworzy nowej moralności, on jedynie zdziera maskę z tej, która i tak już po cichu rządzi naszą rzeczywistością.

Andrew Tate: jak sprzedać resentyment jako drogę do sukcesu

Andrew Tate nie bawi się w subtelności, lecz zdejmuje krawat z etyki wolnego rynku i pokazuje, że pod spodem nosi ona zakrwawiony kastet. Badacze tacy jak Frim i Fluss opisują go jako jednego z najbardziej jawnych współczesnych confidence men, stosujących oszustwo zaufania, czyli mechanizm sprzedaży gotowych światopoglądów osobom zagubionym w chaosie współczesności. Jednakże przekręt Tate'a nie ogranicza się wyłącznie do sprzedaży kursów, wizerunku luksusu czy jaskrawego, internetowego spektaklu, który przyciąga miliony spojrzeń. Polega on na czymś znacznie głębszym i bardziej niebezpiecznym, mianowicie na systematycznym przechwyceniu męskiego cierpienia i przepisaniu go na język brutalnej przemocy. Jego odbiorca zazwyczaj nie pojawia się w jego cyfrowym królestwie jako uformowany ideolog szukający potwierdzenia swoich skrajnych teorii. Przychodzi tam raczej jako człowiek głęboko zawstydzony, samotny, sfrustrowany, ekonomicznie niepewny swego jutra, seksualnie zdezorientowany, statusowo upokorzony i cyfrowo przebodźcowany.

Tate wykonuje wobec tego zagubionego człowieka gest pozornej empatii, mówiąc mu głosem surowego ojca, że jego cierpienie jest całkowicie realne i uzasadnione. Jednocześnie dokonuje on jednak kluczowego manewru odwrócenia uwagi od rzeczywistych źródeł tego dojmującego dyskomfortu psychicznego i społecznego. Według niego przyczyną nie jest wadliwy system, rozpad tradycyjnych wspólnot, kryzys na rynku mieszkaniowym, drapieżna ekonomia uwagi czy postępująca prekaryzacja pracy i alienacja jednostki. Zamiast tego wskazuje on palcem na kobiety, rzekomą słabość charakteru, feminizm, mityczny Matrix oraz twoją własną, indywidualną niezdolność do bycia bezwzględnym drapieżnikiem w dżungli. To jest moment, w którym monetyzacja afektu, czyli praktyka polegająca na przekształcaniu silnych emocji, takich jak gniew czy lęk, w zysk, staje się fundamentem jego biznesu.

Zamiast przekształcić to nagromadzone cierpienie w konstruktywną solidarność, Tate z chirurgiczną precyzją zamienia je w czystą, nieskrępowaną wrogość wobec świata. Zamiast pomóc młodym mężczyznom nazwać realne struktury ich bezsilności, dostarcza im on kuszący fantazmat władzy nad tymi, których uznaje za słabszych od siebie. Zamiast zadawać niewygodne pytania o rynek pracy, dostęp do edukacji, zdrowie psychiczne czy kulturę samotności, rzuca krótkie hasło: zostań alfą. A ponieważ alfa jest kategorią tak naukową jak horoskop napisany przez sfrustrowanego kulturystę w złym humorze, można nią dziś usprawiedliwić niemal każde podłe zachowanie. W tym świecie złość staje się życiodajną energią, pogarda zostaje uznana za jedyny słuszny realizm, a mizoginia awansuje do rangi niepodważalnej prawdy biologicznej.

W tym systemie wyzysk zostaje sprytnie przemianowany na przedsiębiorczość, a dojmująca samotność staje się ostatecznym dowodem na wyjątkowość i elitarność jednostki. Najcelniejsze określenie tej strategii, jakie kiedykolwiek sformułowano, brzmi: „Oprah dla inceli", co doskonale oddaje charakter tego zjawiska. Jest w tej formule pewna brutalność, ale kryje się w niej również ogromna socjologiczna precyzja dotycząca potrzeb współczesnych mężczyzn. Tate oferuje bowiem rodzaj specyficznej terapii emocjonalnej dla ludzi, którzy za nic w świecie nie chcą przyznać, że jakiejkolwiek terapii potrzebują. Daje im on afirmację, rytuał, poczucie wspólnoty, specyficzny język, sztywny porządek dnia, wyraźnego przeciwnika oraz obietnicę radykalnej przemiany.

Tyle że zamiast współczucia oferuje on pogardę, zamiast autentycznego samopoznania proponuje dominację, a zamiast odpowiedzialności za innych promuje przemoc symboliczną. Oferuje on model tożsamości znany jako męskość kompensacyjna, czyli postawę opartą na dominacji i agresji, podawaną jako lekarstwo na poczucie wstydu i marginalizacji. To jest samopomoc odwrócona jak skórzana rękawica: nie po to, by uczynić człowieka bardziej zdolnym do relacji, lecz by go nauczyć, że relacja jest polem eksploatacji. Antropologicznie rzecz ujmując, Tate pełni funkcję fałszywego mistrza inicjacji, który żeruje na braku tradycyjnych wzorców dojrzewania w nowoczesnym świecie.

W dawnych społeczeństwach rytuały przejścia miały wprowadzać młodego człowieka do wspólnoty i uczyć go odpowiedzialności wobec słabszych członków grupy.

Dziś, gdy te rytuały osłabły lub zostały skomercjalizowane, młodzi ludzie zostają sami z poczuciem pustki, którą Tate chętnie wypełnia swoim jadowitym przekazem. Rynek pracy nie zawsze oferuje dziś godne wejście w dorosłość, edukacja często nie przekłada się na stabilność finansową, a rodzina bywa strukturą kruchą i niepewną. Algorytmiczny kapitalizm, czyli system ekonomiczny, w którym uwaga i emocje użytkowników są towarem przetwarzanym przez algorytmy platform, stanowi idealne środowisko dla jego ekspansji. W tej próżni Tate organizuje swoją pseudo-inicjację, mówiąc młodemu mężczyźnie, że wejdzie do dorosłości dopiero wtedy, gdy stanie się naprawdę niebezpieczny. Nie odpowiedzialny, nie sprawiedliwy, nie zdolny do miłości, nie kompetentny czy współczujący, lecz właśnie niebezpieczny dla otoczenia.

To jest klasyczna pedagogika resentymentu, która karmi się poczuciem krzywdy i brakiem sprawstwa w realnym świecie. Resentyment w sensie filozoficznym nie jest zwykłym gniewem, lecz gniewem, który nie potrafi rozpoznać swojej rzeczywistej przyczyny, więc szuka obiektów zastępczych. Tate jest absolutnym mistrzem wskazywania takich obiektów: kobiet, feministek, słabych mężczyzn, liberalnych elit czy mitycznego Matrixa. Cała złożoność współczesnego świata zostaje tu przekształcona w prymitywną scenę walki, gdzie odbiorca ma wreszcie poczuć, że nie jest zagubiony, tylko zdradzony przez system. A człowiek, który czuje się zdradzony, znacznie łatwiej poddaje się charyzmatycznemu wodzowi niż człowiek, który czuje się jedynie samotny i niepotrzebny.

W wymiarze ekonomicznym Tate sprzedaje radykalną odmianę przedsiębiorczości pasożytniczej, która nie ma nic wspólnego z tworzeniem realnej wartości dla społeczeństwa. W przeciwieństwie do longtermizmu, czyli ideologii przedkładającej abstrakcyjną przyszłość ludzkości nad bieżące problemy, Tate skupia się na brutalnym, drapieżnym tu i teraz. W jego świecie pieniędzy się nie tworzy, pieniądze się po prostu bierze, co streszcza całą jego metafizykę drapieżnictwa i braku skrupułów. Kapitalizm zostaje tu zinterpretowany nie jako system produkcji, wymiany czy instytucji, lecz jako pole brutalnego transferu kapitału od słabszych do silniejszych. Zwycięzca to ten, kto umie wyciągnąć pieniądze z innych, zanim inni zdołają wyciągnąć je z niego w tej niekończącej się grze.

Jest to ekonomia pozbawiona dobra wspólnego, wzajemności, etyki kontraktu oraz jakiejkolwiek społecznej odpowiedzialności za los drugiego człowieka. Rynek staje się w tej wizji kasynem dla cyników, a przegrani mają jeszcze za to dziękować, bo rzekomo poznali wreszcie brutalne zasady gry. To nie jest żaden antykapitalizm, lecz kapitalizm w trybie gangsterskiej szczerości, który odrzuca wszelkie maski i pozory moralności. Tate nie mówi młodym ludziom, że system jest

niesprawiedliwy i należy go zmienić, lecz zachęca ich, by nauczyli się być jego najbardziej bezwzględnymi beneficjentami. Nie proponuje on solidarności klasowej, lecz zdradę klasową jako jedyny słuszny styl życia dla ambitnej i silnej jednostki.

Bieda nie jest dla niego problemem politycznym wymagającym systemowych rozwiązań, lecz hańbą osobistą wynikającą z braku determinacji i siły przebicia. Odpowiedzią na wyzysk nie jest organizowanie się w grupy interesu, lecz zostanie wyzyskiwaczem, co czyni jego przekaz kompatybilnym z najbardziej brutalną fazą kapitalizmu. Kategoria Matrixa pełni tutaj funkcję niemal narkotyczną, sugerując, że cały świat jest systemem kontroli, który można zhakować dzięki odpowiedniemu wtajemniczeniu. Tate nie wyprowadza z Matrixa, tylko sprzedaje płatny dostęp do piwnicy Matrixa, obiecując wolność, która w rzeczywistości jest tylko inną formą niewoli. Jeśli inni wierzą w zasady, moralność, równość czy instytucje, to według niego są tylko śpiącymi, którzy nie widzą prawdy.

Problem polega na tym, że ta rzekoma prawda nie prowadzi do żadnej realnej emancypacji, lecz jedynie do głębokiego, niszczącego cynizmu i alienacji. Wyjście z Matrixa w jego wydaniu polega na tym, by samemu stać się jego lokalnym administratorem przemocy i wyzysku. To mniej więcej tak, jakby ktoś uciekł z więzienia tylko po to, by kupić sobie mniejszą celę i pobierać czynsz od swoich dawnych współwięźniów. Psychologicznie działa tu mechanizm uczciwego kłamcy, gdzie cynizm staje się paradoksalnym dowodem autentyczności w świecie pełnym fałszu i manipulacji. Tate mówi odbiorcy wprost: tak, świat jest ustawiony, ludzie manipulują, trzeba grać ostro, a wszyscy inni bez przerwy cię okłamują.

To pozorne odsłonięcie iluzji tworzy niesamowitą wiarygodność, sprawiając, że odbiorca myśli: on przynajmniej nie udaje kogoś lepszego, niż jest w rzeczywistości. Właśnie w tym momencie zostaje on ostatecznie złapany w pułapkę, ponieważ najskuteczniejszy oszust nie zawsze ukrywa swoje oszustwo przed ofiarą. Czasem pokazuje on fragment kłamstwa, aby sprzedać całą resztę jako ekskluzywne wtajemniczenie w mroczne sekrety rządzące naszą rzeczywistością. Ten mechanizm jest doskonale znany również z polityki populistycznej, gdzie przywódca twierdzi, że zna brudy systemu, bo sam jest jego częścią. Tate wykorzystuje toy politics, czyli praktykę polegającą na redukcji złożonych problemów społecznych do kategorii psychologicznych i typologii, by utrzymać wyznawców w stanie mobilizacji. W klasycznej etyce przyznanie się do niemoralności powinno osłabiać autorytet, ale w kulturze uczciwego kłamcy jedynie go wzmacnia i cementuje.

Porażka liberalnej pedagogiki: jak odzyskać męskość?

Współcześni odbiorcy, zmęczeni wygładzonymi komunikatami, nie szukają moralnego autorytetu czy nieskazitelnego świętego, lecz kogoś, kto odważy się być ich osobistym draniem. To właśnie w tym punkcie liberalna demokracja, oparta na procedurach i niuansach, zaczyna sromotnie przegrywać z teatrem brutalnej, choć często sfingowanej szczerości. Prawda, rozumiana jako rzetelny opis świata, zostaje tu zastąpiona przez uwodzicielski efekt „przynajmniej mówi, jak jest", nawet jeśli owa szczerość służy wyłącznie pomnażaniu zysków mówcy. Tate nie wyprowadza przecież swoich wyznawców z Matrixa, lecz sprawnie sprzedaje im płatny dostęp do dusznej piwnicy tegoż Matrixa, obiecując wolność, która okazuje się jedynie nową formą poddaństwa. W tej narracji autentyczność staje się towarem, a brutalność jedynym certyfikatem wiarygodności, co skutecznie paraliżuje zdolność do krytycznego myślenia u młodych, zagubionych mężczyzn.

Tate występuje jako producent męskości kompensacyjnej, czyli modelu tożsamości budowanego na dominacji i agresji, który ma być plastrem na poczucie wstydu oraz marginalizacji. Jego wizja mężczyzny, choć epatuje nadmiarem siły i luksusu, jest w istocie skrajnie uboga, przypominając raczej paramilitarną karykaturę niż pełnowymiarowy portret ludzki. Mężczyzna w tym wydaniu ma jedynie dominować, zarabiać, kontrolować i bezwzględnie tłumić wszelkie przejawy słabości, co redukuje złożoność życia do prymitywnej walki o przetrwanie. W tej wizji brakuje miejsca na ojcostwo jako formę troski, na przyjaźń pozbawioną pogardy czy na odwagę, która objawia się w ochronie słabszych, a nie w ich deptaniu. To nie jest zaproszenie do dojrzałości, lecz instrukcja obsługi strażnika we własnym, mentalnym więzieniu, gdzie siła staje się synonimem braku odpowiedzialności.

Mizoginia nie jest tu przypadkowym dodatkiem, lecz stanowi rdzeń całego systemu wartości oferowanego przez współczesną manosferę. Kobieta w tym świecie przestaje być podmiotem o równej godności, stając się jedynie zasobem statusowym, seksualnym lub ekonomicznym, który należy odpowiednio zagospodarować. Każdy przejaw kobiecej autonomii jest interpretowany jako bezpośrednie zagrożenie dla męskiego poczucia kontroli, dlatego musi zostać natychmiast ośmieszony, zdegradowany lub brutalnie podporządkowany. Tate produkuje dla swoich odbiorców gotowe wyjaśnienie ich porażek relacyjnych, które zwalnia ich z jakiejkolwiek potrzeby autorefleksji czy empatii wobec drugiej strony. Jeśli kobieta odrzuca zaloty, to z pewnością jest zmanipulowana przez feminizm, a jeśli ma własne wymagania, zostaje natychmiast etykietowana jako wyrachowana materialistka.

Ten zamknięty obieg interpretacji, przypominający sektę poznawczą z siłownią w logo, nie funkcjonuje w próżni, lecz jest napędzany przez mechanizmy algorytmicznego kapitalizmu. System

ten, w którym uwaga i emocje użytkowników są towarem przetwarzanym przez platformy, premiuje treści wywołujące skrajne oburzenie i konflikt, a nie merytoryczny spokój. Monetyzacja afektu, czyli przekształcanie silnych emocji, takich jak gniew czy lęk, w realny zysk sprawia, że nienawiść staje się najbardziej rentownym modelem biznesowym w sieci. Skandal krzyczy przez tydzień, ale system inkasuje zyski przez całe dekady, wykorzystując naszą biologię przeciwko nam. Algorytmy nie muszą posiadać świadomej intencji mizoginicznej, aby skutecznie wzmacniać mizoginię, ponieważ wystarczy, że promują zaangażowanie, które najszybciej buduje się na wrogości.

Trzeba jednak zachować analityczną czujność i uniknąć uproszczenia, że każdy młody człowiek śledzący te treści automatycznie staje się bezdusznym przemocowcem. Wiele narracji w manosferze zaczyna się od autentycznych problemów: dojmującej samotności mężczyzn, braku wsparcia psychicznego czy kryzysu edukacyjnego, który dotyka współczesnych chłopców. Te kwestie są realne i zasługują na poważną debatę, a ich wyśmiewanie tylko dlatego, że zostały przechwycone przez toksycznych influencerów, jest strategicznym błędem liberalnych elit. Tate odnosi sukces właśnie tam, gdzie tradycyjne instytucje społeczne, takie jak szkoła czy rodzina, milczą lub ograniczają się do jałowego moralizowania. Jeśli społeczeństwo nie zaoferuje młodym mężczyznom języka dojrzałej kruchości, zawsze znajdzie się ktoś, kto sprzeda im atrakcyjnie opakowany język agresywnej pychy.

Zjawisko to należy więc odczytywać jako spektakularną porażkę liberalnej pedagogiki, która przez lata skupiała się głównie na instruowaniu młodych mężczyzn, kim pod żadnym pozorem nie powinni być. Słyszeli oni, by nie byli toksyczni, agresywni, seksistowscy czy uprzywilejowani, co choć słuszne, nie tworzyło żadnej pozytywnej propozycji tożsamościowej. Same ostrzeżenia i zakazy nie wystarczą, by zbudować stabilne poczucie własnej wartości, zwłaszcza w świecie, który wymaga od nas ciągłej rywalizacji o status. Jeśli nie sformułujemy przekonującej wizji etycznej i kompetentnej męskości, pustkę tę wypełni ktoś, kto po prostu powie: „bądź potworem”. A potwór, w swojej prymitywnej prostocie, zawsze będzie brzmiał dla zagubionego ucha bardziej kusząco niż skomplikowana figura odpowiedzialnego obywatela.

Krytyka tego zjawiska nie może zatem opierać się na pogardzie wobec odbiorców, gdyż owa pogarda jedynie cementuje narrację o oblężonej twierdzy i wzmacnia lojalność wobec lidera. Jeśli młody człowiek słyszy od świata liberalnego wyłącznie, że jest potencjalnym oprawcą, a od influencera, że jest przyszłym zwycięzcą, jego wybór emocjonalny staje się oczywisty. Odpowiedzią musi być przemyślana kontrpedagogika, oferująca siłę bez pogardy, dyscyplinę bez kultu przemocy oraz ambicję, która nie opiera się na pasożytnictwie. Musimy nauczyć się mówić o męskiej pracy nad sobą bez kapitulacji wobec systemu, który promuje przedmiotowe traktowanie innych ludzi w

imię osobistego sukcesu. Prawdziwa alternatywa to erotyka bez uprzedmiotowienia i gniew, który nie potrzebuje fałszywych wrogów, by poczuć się sprawczym i ważnym.

Fenomen ten wymaga precyzyjnego rozróżnienia między indywidualną odpowiedzialnością karną a społeczną odpowiedzialnością za promowane wzorce komunikacji. Sprawy karne muszą być rozstrzygane przez niezawisłe sądy w oparciu o twarde dowody i zasadę domniemania niewinności, czego nie wolno zastępować publicystycznym ferowaniem wyroków. Jednocześnie prawo karne nie wyczerpuje pytania o szkodliwość kulturową danej ideologii, która może niszczyć relacje społeczne długo przed popełnieniem jakiegokolwiek przestępstwa. Można i należy krytykować przemocową ekonomię wpływu oraz eksploatację ludzkiej podatności psychicznej, nie przesądzając jednocześnie o winie procesowej w konkretnym przypadku. To rozróżnienie stanowi fundament cywilizowanej debaty, bez którego skazujemy się albo na bezmyślny lincz, albo na całkowitą bezradność wobec zła.

Kasyno duszy: dlaczego Tate sprzedaje niewolę zamiast wolności

Z perspektywy ekonomii platform Andrew Tate nie jest jedynie kontrowersyjną postacią, lecz precyzyjnie skalibrowanym modelem biznesowym, którego fundamentem stała się monetyzacja afektu. W tym specyficznym układzie sił produktem nie jest nic materialnego, co można by postawić na półce lub zamknąć w magazynie. Prawdziwym towarem, za który płacą miliony, jest obietnica radykalnej przemiany tożsamości, swoista ontologia na abonament. Odbiorca, często zagubiony w meandrach ponowoczesności, kupuje dostęp do wyobrażonej, niemal komiksowej wersji samego siebie: bogatszej, groźniejszej, a przede wszystkim całkowicie uodpornionej na paraliżujący wstyd. Choć podobny mechanizm napędza wiele sektorów współczesnej samopomocy, Tate wykonuje ruch o wiele bardziej ryzykowny i mroczny. Do standardowego zestawu motywacyjnego dodaje bowiem komponent czystej agresji oraz systemowej pogardy, zmieniając coaching w ideologiczne pole bitwy.

Nie mamy tu do czynienia z kolejną wersją wellnessowego „lepszego ja", które medytuje o poranku i pije zielone koktajle. Tate sprzedaje „groźniejsze ja" w estetyce patriarchalnego kasyna, gdzie stawką jest przetrwanie najsilniejszych, a krupierem – on sam. To osobowość potraktowana jako broń abonamentowa, narzędzie do wycinania sobie miejsca w świecie, który rzekomo chce nas zniszczyć. W tym punkcie ujawnia się głęboka ciągłość między nim a postaciami takimi jak Elon Musk czy Jordan Peterson, choć każdy z nich operuje na innym rejestrze. Peterson sprzedaje samodyscyplinę jako heroiczny powrót do mitycznego porządku, Musk oferuje wizję przyszłości jako udział w technologicznym zbawieniu, natomiast Tate sprzedaje dominację jako jedyny

skuteczny ratunek przed upokorzeniem. Wszystkie te produkty, mimo różnic w opakowaniu, są odpowiedzią na ten sam egzystencjalny lęk i wszystkie trzy prywatyzują rozwiązanie, odcinając jednostkę od wspólnoty.

Przekaz jest brutalnie prosty: nie organizuj się, nie buduj instytucji, nie ufaj solidarności, bo to narzędzia słabych. Zamiast analizować materialne warunki swojego bytu, masz pracować nad sobą, wierzyć w wizjonera i ostatecznie zostać drapieżnikiem. To trzy wersje tej samej antypolityki, która zamienia obywatela w zdesperowanego gracza. Tate staje się w ten sposób jaskrawym symptomem kryzysu klasy, w którym bieda i upokorzenie, choć realnie obecne, zostają zinterpretowane nie jako problem strukturalny, lecz jako dowód na osobistą przegraną. To niezwykle wygodne dla systemu, ponieważ przesuwa ciężar winy z mechanizmów ekonomicznych na psychikę jednostki. Skandal krzyczy przez tydzień, ale system, dzięki takim interpretacjom, inkasuje zyski przez całe dekady, nie niepokojony przez żadne ruchy oddolne.

Jeśli biedni mężczyźni nauczą się nienawidzić kobiet, migrantów, feministek czy „słabych" rówieśników, nigdy nie zbudują solidarności przeciwko warunkom, które produkują ich frustrację. Resentyment, czyli specyficzny rodzaj urazy połączony z poczuciem bezsilności, działa tutaj jak idealny piorunochron dla kapitału. Gniew, zamiast uderzyć w najwyższe piętra szklanych biurowców, trafia w najbliższy, najłatwiejszy obiekt, często równie poturbowany przez los. Tate jest w tym sensie „rozpraszającym uwagę klasowym błaznem", postacią, która robi dużo hałasu, by odwrócić wzrok od istotnych procesów. Błazen bywa głośny i irytujący, ale jego nadrzędną funkcją jest utrzymanie dworu w dobrym humorze, a dworem w tym przypadku jest globalny system nierówności. Nieprzypadkowo jego estetyka to czysty luksus demonstracyjny: drogie samochody, złote zegarki i ostentacyjna konsumpcja, która ma być ostatecznym dowodem słuszności.

W tym świecie pokaz bogactwa staje się argumentem ostatecznym, zamykającym wszelką dyskusję merytoryczną. Nie trzeba już dowodzić swoich racji za pomocą logiki czy faktów, wystarczy pokazać garaż pełen superszybkich aut. Samochód mówi: wygrałem, a skoro wygrałem, to znaczy, że posiadłem prawdę o rzeczywistości, więc ty, przegrany, masz obowiązek słuchać. To swoista epistemologia luksusu, czyli przekonanie, że status materialny jest bezpośrednim wyznacznikiem trafności poznawczej. Jest to konstrukcja rozpaczliwie głupia, ale w dobie mediów społecznościowych przerażająco skuteczna. Podczas gdy filozof pokazuje żmudny argument, influencer pokazuje kluczyki do bugatti, a algorytm, zaprogramowany na maksymalizację uwagi, niemal zawsze wybierze garaż. Tate reprezentuje tym samym całkowitą degenerację autorytetu, który traci swoje tradycyjne oparcie w wiedzy czy doświadczeniu.

Autorytet klasyczny, oparty na urzędzie, cnocie czy zdolności ochrony wspólnoty, zostaje zastąpiony przez autorytet platformowy. Ten drugi karmi się wyłącznie widzialnością,

intensywnością przekazu i sprawnością w autoprezentacji. „Jestem bogaty, więc wiem", „Jestem oglądany, więc mam rację" – to skróty poznawcze, które produkują władzę całkowicie pozbawioną odpowiedzialności. Tate jest ich doskonałym, niemal laboratoryjnym przykładem, a jego „filozofia bólu" tylko dopełnia ten obraz. Twierdzenie, że „smakiem życia jest ból", brzmi jak karykaturalny egzystencjalizm dla ludzi, którym Nietzsche został podany w shakerze białkowym między seriami na siłowni. Cierpienie przestaje być doświadczeniem wymagającym zrozumienia, a staje się walutą twardości, sposobem na odróżnienie „samców alfa" od reszty społeczeństwa.

Kto cierpi, ale nie okazuje słabości, jest w tej optyce silny, a kto zadaje cierpienie, stoi jeszcze wyżej w hierarchii. Współczucie zostaje uznane za zdradę gry, za błąd w oprogramowaniu drapieżnika. To oczywiście parodia stoicyzmu, który w swojej autentycznej formie uczył panowania nad własnymi popędami, a nie brutalnego panowania nad innymi ludźmi. Tateowski pseudostoicyzm uczy jedynie tłumienia słabości i eksportowania jej na zewnątrz w formie symbolicznej lub fizycznej przemocy. To nie jest żadna filozofia, lecz emocjonalna awaria przykryta grubą warstwą motywacyjnych cytatów. Współczesna psychologia mogłaby opisać ten mechanizm jako obronę narcystyczną przed wstydem, gdzie człowiek zawstydzony próbuje odzyskać poczucie wartości poprzez systematyczną dewaluację innych.

Jeśli ktoś czuje się bezsilny wobec procesów rynkowych, zaczyna fantazjować o absolutnej kontroli w sferze prywatnej. Jeśli boi się odrzucenia, zaczyna gardzić tymi, którzy mogliby go odrzucić, zanim oni w ogóle zdążą go zauważyć. Tate dostarcza języka dla tej obrony i przekształca ją w pożądany styl życia, co stanowi jego najgłębszą i najbardziej destrukcyjną formę przemocy. Nie tylko rani on kobiety i grupy marginalizowane, ale przede wszystkim deformuje samych mężczyzn, którym obiecuje wyzwolenie. Uczy ich mylić pancerz z kręgosłupem, a izolację z niezależnością. Z perspektywy antropologii prawa świat Tate'a jest światem przedprawnym, w którym konflikt nie zostaje cywilizowany przez normę, lecz rozstrzygany przez nagą siłę i dominację.

Nowoczesne prawo powstało przecież po to, by przerwać logikę prywatnej zemsty i podboju, wprowadzając kategorię godności. Tate symbolicznie tę logikę restytuuje, choć robi to w wersji cyfrowej, dopasowanej do ekranów smartfonów. Gdy mówi o relacjach jako polu kontroli, o pieniądzu jako łupie, a o kobietach jako zasobie, cofa naszą wyobraźnię społeczną do modelu, w którym osoba nie jest nośnikiem praw, lecz instrumentem cudzej woli. To antykonstytucyjna antropologia, sprzeczna z fundamentalną aksjologią równości i autonomii. Warto w tym miejscu ponownie zestawić go z Petersonem, by dostrzec subtelne, lecz istotne różnice. Peterson mówi: stań się odpowiedzialny, uporządkuj chaos, zaakceptuj ciężar bytu. Tate mówi: stań się groźny, zaakceptuj brutalność gry i podporządkuj sobie innych.

Różnica jest realna i nie należy twierdzić, że Peterson to po prostu Tate w profesorskiej todze. Istnieje jednak między nimi niebezpieczny most, zbudowany z moralizacji hierarchii, nieufności wobec emancypacji i biologizacji płci. Peterson nie musi prowadzić bezpośrednio do Tate'a, ale może skutecznie przygotowywać grunt dla odbiorcy, który zaczyna widzieć równość jako niebezpieczny chaos, a dominację jako naturalny, wręcz pożądany porządek świata. Podobnie Musk i Tate spotykają się w specyficznym języku gry. Muskowska symulacja i Tateowski Matrix różnią się stopniem estetycznej ogłady, ale oba te obrazy pozwalają traktować rzeczywistość jako system do zhakowania, a nie przestrzeń wspólnego życia. Jeśli świat jest tylko grą, moralność staje się mechaniką dla słabszych graczy, którzy nie potrafią oszukać systemu.

To właśnie dlatego krytyka płynąca ze strony takich myślicieli jak Fromm i Fluss łączy te pozornie odległe postacie. Nie czynią tego z powodu ich identyczności, lecz dlatego, że każda z nich na swój sposób podważa fundament racjonalnej i solidarnej polityki. Najważniejsze pytanie brzmi jednak: dlaczego to w ogóle działa? Odpowiedź jest bolesna, ponieważ nasze liberalno-kapitalistyczne społeczeństwo samo stworzyło warunki, w których godność została nierozerwalnie powiązana z widzialnym sukcesem. Męskość kompensacyjna, czyli model tożsamości oparty na dominacji oferowany jako lekarstwo na marginalizację, nie wzięła się z próżni. Tate nie spadł z nieba; został wyhodowany przez krajobraz, w którym młody człowiek od dziecka uczy się, że jeśli nie wygrywa w wyścigu szczurów, to po prostu nie istnieje.

On jedynie dodaje do tej lekcji brutalny przypis: skoro tak jest, to wygraj bez litości, używając wszelkich dostępnych środków. Dlatego ostateczna odpowiedź na ten fenomen nie może być wyłącznie moralistycznym potępieniem, które tylko utwierdza zwolenników Tate'a w ich oblężonej twierdzy. Potrzebna jest realna polityka uznania i redystrybucji, rzetelna edukacja relacyjna oraz stworzenie autentycznych perspektyw ekonomicznych dla tych, którzy czują się wypchnięci na margines. Jeśli pozostawimy młodych ludzi samych z algorytmem, ten zaprowadzi ich tam, gdzie krzyk jest najgłośniejszy i najbardziej prymitywny. Rozum publiczny musi nauczyć się mówić równie wyraźnie, choć bez uciekania się do kłamstwa i manipulacji. To zadanie trudniejsze, ale cywilizacja zaczyna się właśnie tam, gdzie to, co trudniejsze, wygrywa z tym, co łatwe i instynktowne.

W książce Flussa i Frima pojawia się drastyczna formuła: „mężczyźni to mordercy, a kobiety to rzeczy". Nawet jeśli uznamy to za publicystyczny skrót, dobrze oddaje on antropologiczne dno tej ideologii. To wizja świata, w którym podmiotowość jest rzadkim przywilejem silnego, a cała reszta populacji istnieje jedynie jako funkcja jego triumfu. Taka wizja jest nie tylko moralnie odrażająca, ale przede wszystkim poznawczo uboga. Nie mieści się w niej miłość, przyjaźń, opieka ani żadna forma trwałej wzajemności. Świat zbudowany wyłącznie na dominacji jest światem permanentnej

wojny wszystkich ze wszystkimi, w którym nikt, nawet zwycięzca, nie może spać spokojnie. Tate obiecuje wolność od słabości, ale w rzeczywistości sprzedaje niewolę wobec własnego, nieustannego lęku przed utratą statusu.

Obiecuje kontrolę nad kobietami, ale w zamian odbiera zdolność do tworzenia jakiejkolwiek autentycznej relacji. Obiecuje bogactwo, ale uczy pogardy dla rzetelnej pracy, zastępując ją kultem cwaniactwa. To nie jest wyzwolenie, to jest kasyno duszy, w którym dom zawsze wygrywa, a domem jest w tym przypadku sam influencer, budujący fortunę na cudzej desperacji. Andrew Tate to najbardziej brutalny, lecz jednocześnie najmniej zamaskowany wariant confidence mana, czyli oszusta żerującego na chaosie współczesności. Jego siła nie wynika z głębi intelektualnej, lecz z absolutnego bezwstydu, z jakim wypowiada to, czego bardziej eleganckie formy kapitalistycznej ideologii nie odważą się powiedzieć na głos. Mówi wprost: w świecie bez solidarności masz być albo narzędziem dominacji, albo materiałem, po którym inni przejdą do celu.

Tate to nie jest margines ani błąd w systemie; to objaw centrum, które straciło zdolność wychowywania do wspólnego, sensownego życia. Gdyby działanie było wystarczającym kryterium prawdy, muchomor zostałby farmaceutą, a Tate – największym mędrcem naszych czasów. Na szczęście prawda wymaga czegoś więcej niż tylko skuteczności w przyciąganiu uwagi. Najkrótszy bon mot podsumowujący ten fenomen mógłby brzmieć tak: Tate nie wyprowadza z Matrixa, tylko sprzedaje płatny dostęp do piwnicy Matrixa, gdzie zamiast wolności rozdaje się role małych nadzorców. Gdy ktoś uważa to za emancypację, to znaczy, że oszustwo osiągnęło swój najwyższy kunszt, a ofiara, zamiast marzyć o wolności, zaczęła marzyć o awansie na strażnika we własnym więzieniu. Krytyka tej postaci jest więc konieczna nie tylko z powodów etycznych, ale jako element walki o odzyskanie elementarnej podmiotowości w świecie zdominowanym przez algorytmiczny kapitalizm.

> Współczesny oszust zaufania nie kradnie już zegarka, lecz samą zdolność do odróżniania wolności od jej cyfrowej symulacji. Zamiast burzyć mury więzienia, uczymy się w nim zarządzać własną celą, wierząc, że awans na strażnika jest szczytem emancypacji. Czy w świecie wiecznej optymalizacji stać nas jeszcze na luksus bycia kimś więcej niż tylko rekordem w bazie danych?

Inspiracje

[1] 

"Confidence Men" Harrison Fluss, Landon Frim

2026 | Repeater | ISBN: 9781914420665

Harrison Fluss jest filozofem heglowskim i adiunktem filozofii na St. John's University oraz wykładowcą w Manhattan College. Jest również redaktorem korespondencyjnym czasopisma Historical Materialism. Jego prace obejmują „Confidence Men" (2026), „Prometheus and Gaia" (2022) oraz współautorstwo „Moses and Political Philosophy".

***Harrison Fluss** is a Hegelian philosopher and Assistant Professor of Philosophy at St. John's University, as well as a lecturer at Manhattan College. He is also a corresponding editor for the journal Historical Materialism. His works include "Confidence Men" (2026), "Prometheus and Gaia" (2022), and co-authorship of "Moses and Political Philosophy".*

Landon Frim jest profesorem filozofii na Florida Gulf Coast University, specjalizującym się w filozofii politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem Spinozy i radykalnego oświecenia. Jego badania koncentrują się na przecięciach religii, etyki i polityki. Jest współautorem książki „Confidence Men" (2026) oraz autorem „The Moral Labyrinth" (2019). Publikuje również w Jacobin Magazine i The New Republic.

***Landon Frim** is an associate professor of philosophy at Florida Gulf Coast University, specializing in political philosophy, ethics, and the history of modern philosophy, with a particular focus on the rationalism of Baruch Spinoza and the Radical Enlightenment. His academic work seeks to ground contemporary political and ethical debates in a systematic, rationalist worldview, often challenging irrationalist trends in modern discourse. Frim is a prolific writer and commentator, frequently contributing to both academic journals and popular intellectual outlets such as Jacobin Magazine, The New Republic, and Salvage Magazine. He is widely recognized for his collaborative work with Harrison Fluss, with whom he has authored significant critiques of contemporary reactionary figures and movements, exploring the intersections of technology, ecology, and anti-humanism. His research aims to provide a robust, secular, and rationalist alternative to the prevailing ideologies of the modern era.*

Florida Gulf Coast University

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.

APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 85cadfff-a094-4542-98b7-5c59e1587906